

Niebo nad nami

antologia wierszy
zestawiona przez Tadeusza Skoczka

Warszawa 2024

NIEBO NAD NAMI



MAZOWIECKA BIBLIOTEKA POETÓW

Seria wydawnicza redagowana przez **Tadeusza Skoczka**:

1. Jerzy Piątkowski, *Petite Pologne* (2008);
2. Marianna Bocian, *Listy z Podlasia. Wybór wierszy* (2008);
3. *Dziś idę walczyć – Mamo!... Antologia utworów* (2019, 2021, 2022);
4. Cyprian Kamil Norwid, *Klaskaniem mając obrzękłe prawice... Antologia utworów* (2021);
5. Krzysztof Kamil Baczyński, *Szkło bolesne – obraz dni. Antologia wierszy* (2022);
6. Tadeusz Gajcy, *Droga tajemnic. Antologia wierszy* (2022);
7. Maria Konopnicka, *Pieśni o domu. Antologia utworów* (2024);
8. *Niebo nad nami. Powstanie Warszawskie. Antologia wierszy* (2024).

80. ROCZNICA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

NIEBO NAD NAMI

Antologia wierszy zestawiona przez

Tadeusza Skoczka

Warszawa 2024

Projekt okładki

Krzysztof Woźniak

(wykorzystano obraz *Spalona Pieta Warszawy*, autor Janusz Jutrzenka Trzebiatowski, zbiory Muzeum Niepodległości)

Reprodukcje obrazów ze zbiorów Muzeum Niepodległości

Tadeusz Stani

Komitet redakcyjny

**Beata Michalec, Małgorzata Karolina Piekarska,
Dorota Dobrońska, Janina Tomczyk**

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości

ISBN 978-83-67398-52-7

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

ISBN 978-83-205-5864-7

Spis treści

Wstęp	9
Autor nieznany	
Tu mówi Warszawa	11
Krzysztof Kamil Baczyński	
Elegia o chłopcu polskim	12
Krzyż	13
Pokolenie	14
Rodzicom	16
Stanisław Baliński	
Polskie lasy	18
Lesław M. Bartelski	
Los	19
Miron Białoszewski	
Chrystus Powstania	20
Teresa Bogusławska	
Warszawie	21
Wacław Bojarski	
Natalio	22
Tadeusz Borowski	
Pieśń	23
Władysław Broniewski	
63	24
Ballady i romanse	25
Pięćdziesięciu	27
Jan Brzechwa	
Godzina bije	30
Ważne – zwyciężyć!	31
Zbigniew Tadeusz Chałko	
Chleb	32
Dzień przedostatni	33
Nike Starego Miasta	34
Warszawska Golgota	35

Grażyna Chrostowska	
Apel	37
Edward Eugeniusz Chudzyński	
Sierpień	38
Stanisław Ryszard Dobrowolski	
Warszawskie dzieci	39
Niezwykła	40
Stare Miasto zwycięży	41
Tadeusz Gajcy	
Śpiew murów	42
Wczorajszemu	44
Konstanty Ildefons Gałczyński	
Matka Boska Stalagów	47
Pieśń o fladze	48
Jan Maria Gisges	
O powstaniu	51
Marian Hemar	
Akademia warszawska	52
Witold Hulewicz	
Mogiła na skwerze	54
Anna Jachnina	
Siekiera motyka	55
Zbigniew Jasiński	
Żądamy amunicji	57
Mirosław Jezierski	
Mała dziewczynka z AK	58
Marsz Mokotowa	60
Sanitariuszka Małgorzatka	62
Eugeniusz Kolanko	
***	64
Krystyna Kraheńska	
Hej chłopcy, bagnet na broń	65
Kołysanka	66
Modlitwa	67
Niebo nad nami	68
O wojence	69
Juliusz Krzyżewski	
W odwrocie	70

Zbigniew Łenka	
Łączniczka	71
Godzina „W”	73
Powstańczy listonosz	75
Stanisław Marczak–Oborski	
Miastu	76
Do Powstańca	77
Wojciech Mencil	
Księga miraży	78
Marian Piechal	
Warszawie	80
Ewelina Pilawa	
63 dni	81
Bądź ze mną	82
XXX (<i>Batalion „Zośka”</i> ...)	83
Józefa Radzymińska	
Z okiennej ramy krzyż	84
Ostatnia modlitwa	85
Jan Romocki	
Modlitwa Szarych Szeregów	86
Tadeusz Różewicz	
Ocalony	87
Bronisława Romanowska-Mazur	
Powstańcy 1944	89
Andrzej Powstaniec	91
Tobie Warszawo	93
Zygmunt Jan Rumel	
Na śmierć Poety	97
Władysław Sebyła	
Żołnierz nieznanany	98
Antoni Słonimski	
Mogiła nieznanego mieszkańca Warszawy	99
Paweł Soroka	
Warszawscy Powstańcy	101
Leopold Staff	
Pierwsza przechadzka	103
Zbigniew Stolarek	
Był 9 września	105

Zdzisław Stroiński	
O śmierci	106
O poległym	107
Józef Andrzej Szczepański	
Czerwona zaraza	108
Dziś idę walczyć – Mamol!... ..	110
Hymn	111
Już nie wróci twój chłopiec – dziewczyno... ..	112
„Parasol”	113
Piosenka szturmowa „Parasola”	115
Teresa Sułowska-Bojarska	
Apel	118
Lucjan Szenwald	
Warszawa	120
Jerzy Szewczyk	
Rozmówka	121
Anna Świrszczyńska	
Ogniotrwały uśmiech	122
Andrzej Trzebiński	
Ojczyzna wzywa nas do boju	123
Jan Twardowski	
Matka Boska Powstańcza	124
Kazimierz Wierzyński	
A więc stało się	125
Julian Wołoszynowski	
Powstanie Warszawskie	126
Krystyna Woźniak	
Niobe z Woli	127
Aneks	129



Szanowni Państwo,

Osiemdziesiąta rocznica Powstania Warszawskiego to ważna okoliczność wymagająca zadumy i refleksji. Nad losami narodu Polskiego, nad patriotycznymi powinnościami, nad cierpieniem wielu mieszkańców: tych walczących oraz tych, którzy zginęli lub zostali wypędzeni. Jednym z elementów obchodów pamiętnej rocznicy jest niniejsza antologia.

Wydawnictwo naukowe Muzeum Niepodległości przedstawia nam nowy zbiór zatytułowany *Niebo nad nami*. To rozszerzona wersja antologii *Dziś idę walczyć – Mamo...* Tytuł tamtego zbioru zaczerpnięty został z wiersza Józefa Andrzeja Szczepańskiego, wybitnego poety poległego w Powstaniu Warszawskim. Jako członek Grup Szturmowych Szarych Szeregów uczestniczył on w wielu niebezpiecznych akcjach, m.in. w zamachu na generała SS Wilhelma Koppego 11 lipca 1944 roku w Krakowie. Kilkanaście dni później w stolicy wybuchło powstanie. 1 września 1944 r. żołnierz-poeta został ranny podczas ewakuacji Starego Miasta i przeniesiony kanałami do Śródmieścia. Zmarł w powstańczym szpitalu 10 dni później. Tytuł ten stał się już „skrzydlatym słowem”, obecnym w przeróżnych projektach wystawienniczych, koncertach, tytułach wydawnictw.

Warto zacytować J.A. Szczepańskiego, który napisał: „Dziś idę walczyć – Mamo!/ może nie wrócę więcej/ może mi przyjdzie polec tak samo/ jak tyle, tyle tysięcy/ poległo polskich żołnierzy”. Te profetyczne słowa również dziś porażają realizmem, przypominając o najwyższej ofierze, jaką złożyli ze swego życia młodzi chłopcy. Każą także zastanowić się, ilu z nich mogłoby w przyszłości budować pomyślność naszej ojczyzny, być architektami, inżynierami czy pisarzami.

W ocenie tamtych dramatycznych wydarzeń nie może zabraknąć refleksji patriotycznych, obecnych w literaturze i sztuce. Prezentowane na łamach antologii zestawienie poezji i ikonografii dotyczy całego zbiorowego wysiłku Polaków, ich odwagi i bohaterstwa podczas niemieckiej okupacji. W publikacji znaleźć można wybrane utwory wcześniejszych i powojennych poetów. „Należymy do narodu, którego losem jest strzelać do wroga z brylantów” – pisał profesor Stanisław Pigoń. Tymi drogocennymi kamieniami polskiego

narodu, polskiej inteligencji, byli m.in. Józef Andrzej Szczepański, Krzysztof Kamil Baczyński, Tadeusz Gajcy, Krystyna Kraheńska, Andrzej Trzebiński (rozstrzelany w 1943 r.). Starannie dobrano również wiersze wybitnych poetów starszego pokolenia, jak Antoni Słonimski, Leopold Staff, Tadeusz Różewicz, Kazimierz Wierzyński i Jan Twardowski. Temat walki o wolność ojczyzny jest nieobcy również młodym artystom. W wydawnictwie pojawiają się wiersze współczesnych autorów: Eweliny Piławy i Pawła Soroki. Walory edukacyjne tej antologii zwiększa uzupełnianie i ilustrowanie wierszy zbiorami muzealnymi.

Niniejsza antologia jest kolejnym tomem serii Mazowieckiej Biblioteki Poetów. To ważny i twórczy pomysł, realizowany już uprzednio poprzez prezentację wierszy Jerzego Piątkowskiego i Marianny Bocian (2008). Później wydano zbiory utworów Baczyńskiego i Gajcego (2022). Powodzenie poprzednich wydań antologii pozwala sądzić, że obecne – będzie tak samo ciepło przyjęte. Wraz z wydawcami – Muzeum Niepodległości i Ludową Spółdzielnią Wydawniczą przewidujemy, że ta wartościowa publikacja pojawi się na półkach bibliotek szkolnych w naszym regionie. W ramach akcji Kulturalna Szkoła na Mazowszu będzie znakomitym uzupełnieniem pracy edukacyjnej szkół naszego regionu.

Gratuluje wydawcom i archiwistom, bibliotekarzom oraz organizatorom wydarzeń edukacyjnych i upowszechnieniowych, zachęcam do lektury!

Adam Struzik



Marszałek Województwa
Mazowieckiego

Autor nieznany

Tu mówi Warszawa

Uwaga! Tu mówi Warszawa!
Notujcie w „Trybunach i „Timesach”.
Trzymamy się jeszcze! Słyszycie! Uwaga!
Robotnik, lud, dzieci na szańcach.

Tu z ruin, pożarów i zgliszczy,
przemawia wolności stolica.
Niełatwo tak damy się zniszczyć.
Możecie się nami zachwycić.

Jak długo? To o tym nie wiecie?
Dopóki krew płynie nam w żyłach,
bo ducha Narodu nie zgniecie,
ni przemoc brutalną, ni siła.

Tu bracia żołnierzy z Tobruku,
synowie walczących w Cassino,
meldują w ogniowym walk huku:
Za wolność gotowiśmy zginąć.

Bój za nas i za was się toczy,
lecz walka nierówna. Uwaga!
W krwi za was i za nas tu broczy
Walcząca – zwycięska – Warszawa!

Krzysztof Kamil Baczyński

ur. 22 stycznia 1921 r., zm. 4 sierpnia 1944 r.

Elegia o chłopcu polskim

Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drżą,
haftowali ci, syneczku, smutne oczy rudą krwią,
malowali krajobrazy w żółte ściegi pożóg,
wszywali wisielcami drzew płynące morze.

Wyuczyli cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przemierzyłeś po omacku najwstydlwsze z ludzkich dróg.

I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut – zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?

Krzyż

Za tych – co batem ścięte liście,
za tych – co ptaki z wosku lane,
tych – co im krew znużeniem tryśnie,
i tych – co wbici cieniem w ścianę –
i za zwierzęta konające,
którym powoli oczy bledną –
– chciałbyś odrzucić Bogu – życie,
umrzeć raz drugi jak Zbawiciel;
ale zawarty tobie upływ krwi.

I związane ręce w supły,
bo ty nie twórczym niepokojem,
a tylko – że się patrzeć boisz.

Pokolenie

Wiatr drzewa spienia. Ziemia dojrzała.
Kłosa brzuch ciężki w górę unoszą
i tylko chmury – palcom lub włosom
podobne – suną drapieźnie w mrok.

Ziemia owoców pełna po brzegi
kipi sytością jak wielka misa.
Tylko ze świerków na polu zwisa
głowa obcięta strasząc jak krzyk.

Kwiaty to krople miodu – tryskają
ściśnięte ziemią, co tak nabrzmiała,
pod tym jak korzeń skręcone ciała,
żywcem wtłoczone po ciemny strop.

Ogromne nieba suną z warkotem.
Ludzie w snach ciężkich jak w klatkach krzyczą.
Usta ściśnięte mamy, twarz wilczą,
czuwając w dzień, słuchając w noc.

Pod ziemią drążą strumyki – słysząc –
krew tak nabiera w żyłach milczenia,
ciągną korzenie krew, z liści pada
rosa czerwona. I przestrzeń wzdycha.

Nas nauczono. Nie ma litości.
Po nocach śni się brat, który zginął,
któremu oczy żywcem wykłuto,
któremu kości kijem złamano;
i drąży ciężko bolesne dłuto,
nadyma oczy jak bąble – krew.

Nas nauczono. Nie ma sumienia.
W jamach żyjemy strachem zaryci,
w grozie drążymy mroczne miłości,
własne posągi – źli troglodyci.

Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok
przed żaglem nozdrzy wężących nas,
przed siecią wzdętą kijów i rąk,
kiedy nie wrócą matki ni dzieci
w pustego serca rozpruty strąk.

Nas nauczono. Trzeba zapomnieć,
żeby nie umrzeć rojąc to wszystko.
Wstajemy nocą. Ciemno jest, ślisko.
Szukamy serca – bierzemy w rękę,
nasłuchujemy: wygaśnie męka,
ale zostanie kamień – tak – głaz.

I tak staniemy na wozach, czołgach,
na samolotach, na rumowisku,
gdzie po nas wąż się ciszy przeczołga,
gdzie zimny potop omyje nas,
nie wiedząc: stoi czy płynie czas.
Jak obce miasta z głębin kopane,
popielejące ludzkie pokłady
na wznak leżące, stojące wzwyż,
nie wiedząc, czy my karty Iliady
rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie,
czy nam postawią, z litości chociaż,
nad grobem krzyż.

Rodzicom

A otóż i macie wszystko.
Byłem jak lipy szelest,
na imię mi było Krzysztof,
i jeszcze ciało – to tak niewiele.

I po kolana brodząc w blasku
ja miałem jak święty przenosić Pana
przez rzekę zwierząt, ludzi, piasku,
w ziemi brnąc po kolana.

Po co imię takie dziecinie?
Po co, matko, taki skrzydeł pokrój?
Taka walka, ojcze, po co – takiej winie?
Od też ziemi krwawo mi, mokro.

Myślałaś, matko: «On uniesie,
on nazwie, co boli, wytłumaczy,
podźwignie, co upadło we mnie, kwiecie
– mówiłaś – rozkwitaj ogniem znaczeń».

Ojcze, na wojnie twardo.
Mówiłeś pragnąc, za ziemię cierpiąc:
«Nie poznasz człowieczej pogardy,
udźwigniesz sławę ciężką».

I po cóż wiara taka dziecinie,
po cóż dziedzictwo jak płomieni dom?
Zanim dwadzieścia lat minie,
umrze mu życie w złócieniach rąk.

A po cóż myśl taka jak sosna,
za wysoko głowica, kiedy pień tną.
A droga jakże tak prosta,
gdy serce niezdarne – proch.

Nie umiem, matko, nazwać, nazbyt boli,
nazbyt mocno śmierć uderza zewsząd.
Miłość, matko – już nie wiem, czy jest.
Nozdrza rozdęte z daleka Boga wietrzą.

Miłość – cóż zrodzi – nienawiść, struny łez.

Ojcze, broń dźwigam pod kurtką,
po nocach ciemno – walczę, wiary więdną.
Ojcze – jak tobie – prócz wolności może i dzieło,
może i wszystko jedno.

Dzień czy noc – matko, ojcze – jeszcze ustoję
w trzaskawicach palb, ja, żołnierz, poeta, czasu kurz.
Pójdę dalej – to od was mam: śmierci się nie boję,
dalej niosąc naręcza pragnień jak spalonych róż.

Stanisław Baliński

ur. 2 sierpnia 1898 r., zm. 12 listopada 1984 r.

Polskie lasy

Gdybyście mówić chcieli,
lasy zielone, polskie,
gdybyście mówić umiali,
Bory Tucholskie,
Puszczo Jodłowa,
Kampinosie,
Zamojszczyzno.

Niosłyby się po rosie
salwy w waszych słowach i szept ostatni:
„Dla Ciebie, Ojczyzno...”.

Drgałyby wasze drzewa,
jak napięte struny,
nutą partyzanckich pieśni,
komendą: „Lewa”,
grzmotem, jakby waliły pioruny,
jękiem, co niósł się boleśnie
w daleką, rodzinną stronę,
gdzie ściany zostały swojskie.

Lasy zielone, polskie,
niech się wasz liść kołysze
nad tysiącami miejsc, gdzie wrzos
ma barwę inną – już na zawsze.

Otulcie partyzancki los
w dywany liści najłaskawsze,
opatrzcie watą miękkich mchów,
otoczcie tchnieniem zielonej woni,
i choć nie znacie naszych słów
nućcie tym, którzy wśród ustroni
waszych zostali - piosenkę cichą
także i od nas, po wsze czasy.

Lasy zielone. Polskie lasy.

Lesław M. Bartelski

ur. 8 września 1920 r, zm. 27 marca 2006 r.

Los

Śmieszne znaki jak logarytm lub klucz wiolinowy,
chropowaty napis na spalonym murze,
albo obłoki statecznie płynące nad głową
czy to jest los?

Chrzęst linotypów zmieszany z świstem kul,
lub długi szereg szpitalnych łóżek,
na których ranni zastygli w ból –
czy to jest los?

Cienie piasku długie jak przesmyk,
między górami; lub morza, po których płyną
żołnierze, mając na ustach śmiech bolesny –
czy to jest los?

Karty i kości, gwizd dzikich kosów,
i twoje usta, smukła dziewczyno,
wódka i wino, karty i kości, dym z papierosa.

Niech nie pozwolą nam smutnie ginąć
nim los nas odmieni w żałobny posąg.

1944

Miron Białoszewski

ur. 30 czerwca 1922 r., zm. 17 czerwca 1983 r.

Chrystus powstania

Na ramionach usnął ci ogień
kołysze go w brąz płonące miasto
dwa stosy masz zamiast powiek
ale jest krzyż z gorących oddechów

Idź przez mur do czerwonych arkad
między popiół tłumy
i przemieniaj na wargach
ogromne liście płomieni w wino

Barykady jak Góry Oliwne
szumią okruchami kości –
dłoń po dłoni wywlecz
spod ziemi bruków i odpuść

Wstąp w Jordan kanałów –
w szlamie zielonym jak wieczność
szukaj nieżywych włosów:
w Imię Ojca... i Ducha...

Teresa Bogusławska

ur. 13 lipca 1928 r., zm. 1 lutego 1945 r.

Warszawie

Rozciągnęła nad Tobą noc skrzydła,
rozciągnęły się mgły ponad Tobą.
W burz i wichrów spętanaś wędzidła
i płomienie Ci ognia ozdoba.

Rozpętały nad Tobą się burze,
zaświeciły Ci łuną łez krwawą...
Lecz Tyś wyższa, Tyś wzrosła ku górze,
O, męczeńska! O, święta Warszawo!

Gdy Ci grały szatańsko szrapnele,
gdy Ci bomby pękały wśród ognia,
w Tobie wzrosło wielkości tak wiele,
że nie zmogła jej siła i zbrodnia.

Zhartowałaś się we krwi i w ogniu
i moc swoją zachowasz na wieki.
Moc, co w każdym już żyje przechodniu,
tętni w murach, gra w nurtach tej rzeki.

Takaś dumna, wyniosła i żywa,
takaś cała promienną i krwawą...
dzwon się głuchy z oddali odzywa...
...Klękam w prochu przed Tobą, Warszawo...

1943

Wacław Bojarski

ur. 30 października 1921 r., zm. 5 czerwca 1943 r.

Natalio

O Natalio, o Natalio,
bez pamięci Cię uwielbia nasz batalion.

O Natalio, o Natalio,
pachniesz wiatrem, leśnym szumem i konwalia.

O Natalio, o Natalio
to się musi skończyć raz –
wybierz wreszcie kogoś z nas.
O, potraktuj to na serio
i nad wdzięków twych imperium
zapanować komuś daj...

(...)

Panna dłonie załamała:
jak jednemu serce dam,
gdy się także kocham w reszcie –
ach, wierzcie mi, wierzcie,
w sercu swym batalion zmieszczę.
Wszystkim Wam całusa dam.

Tadeusz Borowski

ur. 12 listopada 1922 r., zm. 3 lipca 1951 r.

Pieśń

Nad nami noc. W obliczu gwiazd
ogłuchłych od bitewnych krzyków,
jakiż zwycięzców przyszły czas
i nas odpomni – niewolników?

Pustynię, stepy i morze twarzy
mijamy depcząc, grzmi karabin,
zwycięzców krzyk, helotów marsz
i głodny tłum cyrkowych zabaw.

Wołanie, śpiew, pariasów wiara,
łopocze wiatrem wrogi znak,
krojony talar, łokieć, miara,
i chodzą ciągle szale wag.

Niepróżno stopa depcze kamień,
niepróżno tarcz dźwigamy, broń,
wznosimy czoło, mocne ramię
i ukrwawiamy w boju dłoń.

Niepróżno z piersi ciecze krew,
poblądłe usta, skrzepłe twarze:
Wołanie znów, pariasów śpiew
I kupiec towar będzie ważył.

Nad nami – noc. Goreją gwiazdy,
dławiący, trupi nieba fiolet.
Zostanie po nas złom żelazny
i głuchy, drwiący głos pokoleń.

Władysław Broniewski

ur. 17 grudnia 1897 r., zm. 10 lutego 1962 r.

63

Ujazdowskiej już nie ma Alei,
została Głgota Męstwa.
Ja wykreślam Aleję Nadziei
i Most Zwycięstwa.

Ja nie jestem urbanistą, specem
od ustawiania cegły,
ale moje słowa doleczą
do Niepodległej.

Ockną się martwe ulice,
spojrzą milcząco:
Wolska, Krakowskie, Waleców,
Krucza, Wilcza,

skrwawiony łeb Żoliborza
padnie na tors Śródmieścia,
upiory szepną: „Może?
Wreszcie!...”,

zarąbany wstanie Mokotów,
Praga, wielokroć krwawa,
nieugięte Wola z Ochotą...
Wierzcie: z orlim skrzydeł łopotem
zmarłych powstanie WARSZAWA!

Ballady i romanse

„Słuchaj dziewczeczko! Ona nie słucha...
To dzień biały, to miasteczko...”
Nie ma miasteczka, nie ma żywego ducha,
po gruzach biega naga, ruda Ryfka,
trzynastoletnie dziecko.

Przejeżdżali grubi Niemcy w grubym tanku.
(Uciekaj, uciekaj Ryfka!)
„Mama pod gruzami, tata w Majdanku...”
Roześmiała się, zakręciła się, znikła.

I przejeżdżał znajomy, dobry łyk z Lubartowa:
„masz, Ryfka, bułkę, żebyś była zdrowa...”
Wzięła, ugryzła, zaświeciła zębami:
„Ja zaniosę tacie i mamie.”

Przejeżdżał chłop, rzucił grosik,
przejeżdżała baba, też dała cosik,
przejeżdżało dużo, dużo luda,
każdy się dziwił, że goła i ruda.

I przejeżdżał bolejący Pan Jezus,
SS-mani go wiedli na męki,
postawili ich oboje pod miedzą,
potem wzięli karabiny do ręki.

„Słuchaj, Jezu, słuchaj, Ryfka, sie Juden,
za koronę cierniową, za te włosy rude,
za to, żeście nadzy, za to, żeśmy winni,
obojeście umrzeć powinni.”

I ozwało się Alleluja w Galilei,
i oboje anieleli po kolei,
potem salwa rozległa się głucho...
„Słuchaj, dziewczeczko!...Ona nie słucha.”

Pięćdziesięciu

Październikowy mrok, jak kat,
nad śpiącym miastem groźnie stanął,
wśród pustych ulic świszcząc wiatr,
stukają buty SS-manów.

I jak bredzenie ciężko chorych
przelata ulicami miasta
październikowa noc Szesnasta
z rykiem motorów. Czy upiorów?...

Warszawa nie śpi, okiem okien
rachuje auta: siedem... osiem...
Warszawa nie śpi i – drapieżna –
przyczaja się w udanym śnie,
bo sen Warszawy – to jej gniew,
a wtedy czuwa i snu nie zna.

Zerwanych mostów nie wyminą
pociągi, rezerw nie dowiozą:
już tydzień przy skręconych szynach
brzuchami świecą parowozy
i zamarł wszelki ruch na wschód,
cały garnizon trwa pod bronią.
Tylko patrole, tak jak wprzód,
chodzą z pistoletami w dłoni,
tylko po mieście, tak jak zwykle,
złowrogo trzeszczą motocykle...

Październikowa noc okrakiem
stała – czemu? – nad Pawiakiem,
rozlała śmierć po więźniów twarzach,
przez kraty przepuściła świt,
a wtedy – tupot w korytarzach
i w każdej celi klucza zgrzyt!

Apel pośpieszny, apel krótki,
jak salwa: Alle raus! – i wtem,
jak słowo, które w gardle utkwii,
ten dzień zaprzestał być już dniem.

Ich wszystkich było pięćdziesięciu.
Wiązano grupy po dziesięciu
i pchano siłą w paszcze aut,
a potem – Wola, Włochy, dworzec...
Nad wszystkim bujał, jak porzecz.
dopełniający się już gwałt.

O patrz, Warszawo, to są ci,
za których się historia mści,
to oni wolą nieugiętą
uczyli nas, jak żyć, jak bić się,
jak gardzić życiem, kochać życie,
ażebym syn i wnuk pamiętał...
O, patrz Warszawo, toż to tamci,
którzy nas mieli zmiażdżyć, stłamsić,
przed nasz są powołani sąd,
by im wyrokiem wskazać krwawym,
że siła podłych nie jest prawem,
że to bluźnierstwo, że to błąd.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
z Powiśla, z Woli byli więźci,
z warsztatów pracy, fabryk, hut...
To oni każdą z bruku cegłą
o wolność bili się, o lud,
o chleb nasz i – o Niepodległą!

Ich było tylko pięćdziesięciu,
lecz po nich poszły nas miliony
w wojennym szczęściu i nieszczęściu
ku dniom, tak wtedy oddalonym.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
a myśmy zaciskali pięście...

Obywatele, towarzysze,
nic więcej o nich nie napiszę..

Jan Brzechwa

ur. 15 sierpnia 1898 r., zm. 2 lipca 1966 r.

Godzina bije

Godzina bije! Świstem kul.
Pomścimy wreszcie lata grozy,
pomścimy groby, łzy i ból,
i egzekucje i obozy

Przez cały świat niech biegnie wieść,
że znów broczymy krwią i potem,
wysoko pięść musimy wznieść,
żeby miazdzącym spadła młotem.

A wtedy w prochu legnie wróg,
dzielności naszej się poszczęści
i sprawiedliwy, wielki Bóg,
pobłogosławi naszej pięści.

Ważne – zwyciężyć!

Na barykady, Warszavo,
Zwyciężaj w codziennych bojach!
Twe gruzy są twoją sławą,
W twych zgliszczach jest wielkość twoja!

Bo serca nasze odważne,
Nie można ich uciemieżyć.
Głód? – Nieważne!
Życie? – Nieważne!
Ważne – zwyciężyć!

Przemówił wróg do Warszawy:
„Wywieście chusteczki białe,
Za łyżkę niemieckiej stawy
Sprzedajcie wolność i chwałę!”

Lecz serca nasze odważne –
Nie można ich uciemieżyć.
Głód? – Nieważne!
Życie? – Nieważne!
Ważne – zwyciężyć!

Poprzez pożary i dymy,
Od Woli aż po Mokotów
Brzmi nasze hasło: „Walczymy!”
I dumny odzew nasz: „Gotów!”

Bo serca nasze odważne,
Nie można ich uciemieżyć.
Głód? – Nieważne!
Życie? – Nieważne!

Ważne – zwyciężyć!

Zbigniew Tadeusz Chałko

ur. 26 kwietnia 1921 r., zm. 9 kwietnia 1994 r.

Chleb

Dla was to może być lanszaftem;
pochyła wierzba, łopiany u płota
sine niebo jesieni, z czarnym wronim haftem
młode chmury w bocianich łopotach

a dla nas tam – to był chleb
o który trzeba było walczyć, by wrócić

choćby na tarczy

Dzień przedostatni

Leżymy w szarej bruździe świtu,
od Wisły już ćwierkają kule,
dniu przedostatni – ty nas przytul
najtkliwiej i najczulej.

W płomieni szepcie i szeleście
noc wypalona popieleje
i rządzi śmierć na Starym Mieście,
czarną chorągwią klęski wieje.

Nagle – trąconych gruzów turkot
budzi ruiny oniemiałe:
to ksiądz, wiedziony sygnaturką
przyszedł nakarmić Bożym Ciałem.

Sukienka na nim podkasana
i rdzawy pył na biednej wełnie.
Głowa odkryta, bo niósł Pana
w żołnierskim hełmie.

Ku chmurom dźwignął
chleba skrawek,
świtową szarość rozpromieniał
i błogosławił nim Warszawę
w ten przedostatni dzień zniszczenia.

Nike Starego Miasta

Nasza Nike ma skrzydła biało-czerwone.
Nasza Nike ma włosy złociste jak żar
i oczy Wisłą szare i Wisłą zamglone,
a w spojrzeniu równiny mazowieckiej czar.

Nasza Nike piorunem spadła na barykady
i w zapadłych uliczkach Iśnienia siał się miecz.
Swoj stary miecz Chrobrowy do nowej parady,
młodym dłoniom rzuca Pospolita Rzecz.

Po trzykroć dni dziesiątek przepadł w niepowrotne,
po trzykroć dni dziesiątek stopiło się w skry,
a z nami nasza Nike i nasza samotność –
i jeszcze krew i rany i pożarne mgły.

W ruiny starych murów, w zaorane ulice,
samotnie i bez skargi dumnie wsiąka krew.
Nasza Nike boleśnie zbiera tajemnice,
że nie słyhać nic stamtąd... jeno Wisły śpiew.

Pędzi Nike na biało-czerwonych swych piórach,
sponad ruin Katedry i zamkowych turm,
lot w podniebiu pocięty, zagubiony w chmurach,
kieruje na ostatni staromiejski szturm.

A gdy padł strzał ostatni i gdy noc pobladła,
wśród ostatnich pożarnych kolebliwych Iśnień,
Nike skrzydła zwinęła i na zgliszcza padła.
I zniknął wśród popiołów jej zwycięski cień.

.....
A gdy Rynek samotny zabłysnął świtami
Nike wstała i poszła za swymi chłopcami.

Warszawska Golgota

Szedł Chrystus złamany
pod brzemieniem Krzyża,
pochylił się boleśnie,
do ruin się zniżył.

Szedł zgliszczami Podwala,
Piwnej, Świętojańskiej,
i rosły przed Nim nowe
stacje Męki Pańskiej.

Szedł zgliszczami Śródmieścia
Woli i Ochoty
i próżno szukał kresu
warszawskiej Golgoty.

I próżno szukał ludzi
pośród pogorzeli;
nie ma ludzi w tym mieście
wszyscy poginęli.

I próżno szukał wzrokiem
wśród ruin dokoła
Weroniki, co chustą pot Mu
zetrze z czoła.

Aż spojrział w czyjeś oczy,
w których zgasło życie
i znalazł w nich swej twarzy
najświętszej odbicie.

I pochylił się jeszcze,
bo krzyż jak orłów
przygniótł barki ciężarem
zburzonych kościołów.

I zapłakał i jeszcze
do gruzów się zniżył;
na Krakowskim, raz czwarty,
padł Chrystus pod krzyżem.

Grażyna Chrostowska

ur. 20 września 1921 r., zm. 18 kwietnia 1942 r.

Apel

Teraz jestem już blisko.
Niebo przetarte skrzydłem ptaka
wschodzi z rumieńca do jasności.
Księżyc na wprost słońca.
Wszystko w promiennym obłoku,
a noc przechodzi bokiem.
Nie wiadomo skąd, długim szlakiem
stamtąd przyleciały ptaki,
wiatrem gnane po błękicie.
Lecą niskim ukosem nad nami.

Stoimy szeregami
w sercu ciszy.
Cisza pełna jest prostoty.

I wtedy właśnie szum
przybliża tętno, stukot kół
i drobne dziecinne dzwonki.
Pociągi idą, pociągi...
Walą kołami o szyny,
świst długi, ten sam, z daleka –
ja też, ja też, poczekaj!
Ominął wszystko i ginie.

Edward Eugeniusz Chudzyński

ur. 13 września 1921 r., zm. 30 listopada 1990 r.

Sierpień

Sierpień dziś w mieście rozgorzał,
na piętrach, dachach, w piwnicach,
promienny i krwawy jak zorza,
radością pogonił w ulicach.

Wśród domów okrzykiem – jak surmą,
w zaułkach seriami – jak śmiercią.
Tysiące ruszyły do szturmów
w zwycięstwo. Sierpniowe zwycięstwo.

W czerwieni i bieli zuchwałej,
proporców, opasek na rękach,
nie zważa na ognia nawałę,
szalona, junacka potęga.

A sierpień zachodem nam świeci,
zachodem co w łunach goreje.
Warszawa rzuciła swe dzieci,
po jutro wolnego nadzieję.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

ur. 14 marca 1907 r., zm. 27 listopada 1985 r.

Warszawskie dzieci

Nie złamie wolnych żadna klęska,
nie strwoży śmiałych żaden trud –
pójdziemy razem do zwycięstwa,
gdy ramię w ramię stanie lud.
Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój,
za każdy kamień Twój, Stolicu, damy krew!
Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój,
gdy padnie rozkaz Twój, poniesiem wrogom gniew!
Powiśle, Wola i Mokotów,
ulica każda, każdy dom –
gdy padnie pierwszy strzał, bądź gotów,
jak w rękę Boga złoty grom.

Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój...
Od piły, dłuta, młota, kielni –
Stolicu, synów swoich sław,
że stoją wraz przy Tobie wierni,
na straży Twych żelaznych praw.

Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój...
Poległym chwała, wolność żywym,
niech płynie w niebo dumny śpiew,
wierzymy, że nam Sprawiedliwy,
odpłaci za przelaną krew.

Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój...

Niezwyciężona

I znów wśród murów twych, Stolico –
ogień we włosach i błysk w oku;
skrzydłami wiejąc nad ulicą,
grzmi jasno rytm zwycięskich kroków.
I znów rozległy oddech w płuca,
i ściąga znów wystrzały wystrzał –
sto ramion sztandar wzwyż wyrzuca
i światła źrenic bardzo błyszczą.

Więc „nie zginęła” i „niech żyje”!
Salwami trzaska słowo Polska.
Po broń sięgają ręce czyjeś
i rosną z ziemi, rosną wojska.
Żołnierski sen urasta w jawę:
Powstańcie! Rozkaz! – rzecz skończona.
Przez ogień idzie w złotą sławę
Niezwyciężona! Niezmożona!

Stare Miasto zwycięży

Stare Miasto czołami kamienic
stoi naprzeciw przemocy,
Stare Miasto zdobywa wieniec,
Stare Miasto krwią serca broczy.

Ale Stare Miasto – to szaniec,
barykada wolności i sławy,
barykada nie podda się za nic,
Stare Miasto to szermierz Warszawy!

To nie mury, nie kamienie dostojne,
ale jasna dla żywych droga,
i mur wolnych niosących wojnę...
To placówka naprzeciw wroga.

Więc, gdy runą ostatnie domy
na Piekarskiej, na Pivnej, Kanonii,
tylko mur się przesunie ruchomy
i gdzie indziej zagrzmi: do broni!

Bo jest wiele na świecie twierdz,
ale jedna nie upada pod klęską –
twierdza wolnych ramion i serc.
Stare Miasto! będziesz zwycięzcą!

Tadeusz Gajcy

ur. 8 lutego 1922 r., zm. 16 sierpnia 1944 r.

Śpiew murów

Nocą, gdy miasto odpłynie w sen trzeci,
a niebo czarną przewiąże się chmurą,
wstań bezszelestnie, jak czynią to dzieci,
i konchę ucha t a k przyłóż do murów.
Zaledwie westchniesz, a już cię doleci
z samego dołu pięter klawiaturą
w szumach i szmerach skłębionej zamieci
minionych istnień bolesny głos chóru.

„Bluszczem głosów spod ruin i zgliszcz
pniemy się nocą na dachy i sen,
tobie, Warszawo, w snach naszych śniesz,
nucąc wrześniami żałobny nasz tren”.

– Biegłam rankiem po chleb do piekarni
(chleba dotąd czekają tam w domu),
a ja leżę z koszykiem bezradnie,
tuż za rogiem, nie znana nikomu...

– Właśnie ręką chwyciałem za granat,
żeby czołgi przywitać nim celnie,
ziemia była spękana, zorana –
nagle świat mi się zaćmił śmiertelnie...

– Myśmy obie wyniosły na noszach,
jeszcze kocem okryły mu nogi,
bo krzyczeli dokoła, że pożar...
Ja na świstku pisałam: „Mój drogi...”

„Bluszczem głosów spod ruin i zgliszcz
pniemy się nocą na dachy i sen,
tobie, Warszawo, w snach naszych śniesz,
nucąc wrześniami żałobny nasz tren”.

Słuchaj tych głosów żałobnych żarliwie,
nim brzask poranny uciszy je w niebie
i nowe miasto w napiętej cięciwie
dni tryumfalnych na nowo pogrzebie.

Słuchaj tych głosów, boś po to szczęśliwie
ocalon został w tragicznej potrzebie,
byś chleb powszedni łamał sprawiedliwiej
i żył za tamtych, i za siebie lepiej.

*

Jak nie kochać strzaskanych tych murów,
tego miasta, co nocą odpływa,
kiedy obie z greckiego marmuru –
i umarła Warszawa, i żywa.

Wczorajszemu

Ufałeś: na niebo jak na strunę miękko złożysz dłoń,
muzykę podasz ustom, utoczysz dotknięciem,
łukiem wiersza wysokie księżycowe tło
wprowadzisz w bezmiar dolin –
Modlitwę nocnych cieni rozwieszisz jak wiewiórkę,
na słodkich oczach dziewann i szumach topolich.

Ufałeś: trzepot ptaków rozsiejesz ziarnisty,
rozległą pierś ujmiesz horyzonty, w których świat
pływa mały jak z dzieciństwa okręcik.

Klechda z omszałych lat
– świty w klechdzie powiewały krwawe –
do snu kołysała dzieci.

Taką klechdą przełamał się dzień
walczącej
Warszawy.

Wtedy –
rozwiody się nad miastem ornamenty łun
na złotych kolcach wieżyc i bełkocie Wisły,
muzyka – lecz nie nieba – krążyła jak sen,
dziś wiesz:
to skowyt strzałów na brukach się wił,
otaczał, chodził wokół jak zbłąkany zwierz.

A tobie – dni wczorajsze w oczach nie ostygły,
ufałeś...

Księżyc sierpem zmrużone rzęsy kosił,
wśród krzyżów zwijał światła purpurową nitkę:
żołnierze nieśli drżące, spokorniałe oczy
na sfruwającą powietrzem
białą Nike.

Falował spokój w ciepłej darni,
kiedy młodzi plecami wsparci o wieczność
odchodzili w głębokie postania.
Więc nakryły ich obłoki podobne kulistym mleczom
i wiatr, któremuś wierzył – składał pocałunki umarłym.

Nie wiedziałeś, że dłoń, którą uczyłeś śpiewać,
potrafi nienawidzić i pięścią grubieć pełną,
gniewu unosić żagiew –
Ufałeś. Nie ukoił twoich ust śpiew drzewa
i oczu blask nie zajął pod kopułą hełmu,
i serca nie nasycił krzyk wbity na bagnet.

Dzień rozbrój z woni siana. Sandały zielone
niech zostawi przed progiem, na którym go czekasz –
odejmij pustkę oczom, gdy w smutku zatoną,
i nie daj mówić wiatrom o liliowych zmierzchach.

Bo kłamią. Bo śpiewają gorejącą lawą,
że znowu dłoń na niebo jak na strunę złożysz,
muzykę podasz ustom –

Dzisiaj –
w piaskach cmentarzy
powiędły echa strzałów,
wiruje błękit niski jak wczoraj łaskawy,
jak lustro.
Kaź trawie, by milczała. Jej śpiew cię zadławi,

spowije wata wzruszeń i ciśnię w niepamięć.
Nim ockniesz się, już serce zagubisz w obrazie
i dłonie w przerażeniu milcząco załamiesz.

Dzisiaj –
inaczej ziemię witać!
Wierzyłeś: słowiczym pieniem wierszy popłynie sława harda
i wszędzie w barwnych tęczach, obudzi się w mitach.
Nie tak.

Nazbyt duszno jest słowom na wargach
ciosanym z łun i żalu o wadze kamienia –

Myślałeś: będzie prościej.
A tu słowa, śpiewne słowa trzeba zamieniać,
by godziły jak oszczep.

Konstanty Ildefons Gałczyński

ur. 23 stycznia 1905 r., zm. 6 grudnia 1953 r.

Matka Boska Stalagów

Była już prawie zima, lecz wiatr południowy dmuchał
i pachniał wstążkami dziewcząt.
A był bliski drutom bukowy las, a buki były podobne nutom.
Stamtąd wyszła do jeńca i powiedziała: – Posłuchaj!

Kładę ci dłonie na włosach, by miłosierdzie z odwagą
splęść w sercu twoim, ażebyś – czuły i mocny wytrwał.
Ja jestem spokój twych nocy i walka dnia, i modlitwa,
i długi obłok złocisty – Matka Boska Stalagów.

Znam wasze troski wszystkie i wszystko, co was zasmuca,
listy i noce samotne, i dni beznadziejnie długie,
ja troski wasze jak kwiatki spletam w szumiący bukiet
i składam na stopniach tronu mojego Pana – Jezusa.

Wtedy Pan Jezus powstaje, odkłada na chwilę berło
i każdej trosce najmniejszej nadaje tak śpiewne imię,
że jedna się staje rubinem, szmaragdem inna lub perłą,
a ta najcięższa, najkrwawsza wyrasta w drzewo olbrzymie.

Ja wiem, jak to wszystko boli, więc jestem do końca z wami
blaskiem nad waszą rozpaczą i śladem na śnieżnej bieli,
a jeszcze palmą i wieńcem dla tych, co zęby zacięli
jak deszczem słodkim na kwiaty, spadam na włosy rękami.

Do widzenia. Już idę. Do uwięzionych kobiet.
Ześlę im sny szeleszczące o dzieciach w różowych sukienkach,
o mężach dobrych, o życiu, co dźwięczy jak piękna piosenka.
A tym, co od ran pomarli, jarzębiną zakwitną na grobie.

[Stalag Altengrabow, listopad 1944]

Pieśń o fladze

Jedna była – gdzie? Pod Tobrukiem.
Druga była – gdzie? Pod Narvikiem.
Trzecia była pod Monte Cassino.

A każda jak zorza szalona,
biało-czerwona, biało-czerwona!
czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.

Zebrały się nocą flagi.
Flaga fladze dodaje odwagi:
– no, no, nie bądź taka zmartwiona.
Nie pomogą i moce piekła:
jam ciebie, tyś mnie urzekła,
nie zmogą cię bombą ni złotem
i na zawsze zachowasz swą cnotę.
I nigdy nie będziesz biała,
i nigdy nie będziesz czerwona,
zostaniesz biało-czerwona
jak wielka zorza szalona,
czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,
najukochańsza, najmilsza,
biało-czerwona.

Tak mówiły do siebie flagi
i raz po raz strzelił karabin,
zrobił dziurę w czerwieni i w bieli.
Lecz wołały flagi – Nie płaczcie!
Choćby jeden strzępek na maszcie,
nikt się zmienić barw nie ośmieli.

Zostaniemy biało-czerwone,
flagi święte, flagi szalone.
Spod Tobruka czy spod Murmańska,
niech nas pędzi dola cygańska,
zostaniemy biało-czerwone,
nie spoczniemy biało-czerwone,
czerwone jak puchar wina,
białe jak śnieżna lawina,
biało-czerwone.

O północy przy zielonych stolikach
modliły się diabły do cyfr.
Były szarfy i ordery, i muzyka
i stukał tajny szyfr.
Diabły w sercu swoim głupim, bo niedobrym
rozwiązywały biało-czerwony problem.

Flaga łkała – Czym powinna
zginąć bo jestem inna?
Bo nie taka... dyplomatyczna,
bo tragiczna, bo nostalgiczna;
ta od mgieł i tkliwej rozpaczy,
i od serca, które nic nie znaczy,
flaga jak ballada Szopenowska,
co ją tkęła Matka Boska.

Ale wtedy przyszła dziewczyna
i uniosła flagę wysoko,
hej, wysoko, ku samym obłokom!
Jeszcze wyżej, gdzie się wszystko zapomina,
jeszcze wyżej, gdzie jest tylko sława
i Warszawa, moja Warszawa!
Warszawa, jak piosnka natchniona,

Warszawa biało-czerwona,
biała jak śnieżna lawina,
czerwona jak puchar wina,
biało-czerwona, biało-czerwona, hej, biało-czerwona.

[Obóz Altengrabow, 1 października 1944]

Jan Maria Gisges

ur. 15 stycznia 1914 r., zm. 17 grudnia 1983 r.

O powstaniu

Z Mazowsza nadbiegła wieść:
nad miastem zorza!

Ramieniem ją oplątam i do spragnionych podnoszę ust,
jak dłoń najpiękniejszej kobiety.
Przyjmuję ją – pieśń niezwalczonych –
i po obozie obnoszę
w szepcie wtajemniczonych:
dziś – wieczorem – hasło – blok cztery.

Chodź ze mną i spójrz:
widzisz te twarde zacięte numery?

Ujrzałeś wtenczas ciemność
wmurowaną w drewniane ściany
i usłyszałeś jak ona śpiewa:
„nie będzie Niemiec pluł nam w twarz...”
Ta na wargach zakrzepła modlitwa
jak krople krwi.

A ty – sztubedinście –
chciałeś studzić serca
rozpalone zorzą?

Marian Hemar

ur. 6 kwietnia 1901 r., zm. 11 lutego 1972 r.

Akademia warszawska

Nie odwróćą się lata, nieodstaną groby,
nie wrócisz ludzi żywych z próchna i popiołów.
O co wolno się modlić na gruzach kościołów?
Ach, już tylko o nasze prawo do żałoby,
kiedy na nas się łamie, jak na fal łamaczu,
pochód dziesięciu wieków, Boże wielki,
o co pozwolisz nam się modlić przed ostatnią nocą?
Już tylko o to jedno – o prawo do płaczu.
Cóżeśmy rozumieli z tamtej emigracji?
I kto kiedy z nas się domyślał, jaka była cena
mickiewiczowskich wierszy i etiud Szopena
i listów, które pisał do matki Mochnacki?
A owe długie, nocne rozmowy Polaków,
szeptane na ubogich poddaszach paryskich
– o czymże były?
O kim? – O nas. O nas wszystkich.
O naszym pokoleniu szczęśliwych Polaków.
To myśmy mieli drzewem rosnać na ich grobie,
korzeniami z tej mierzwy ich serc, ich poezji,
ich klęski, ich obłędu mesjańskiej herezji –
drzewem w niebo wolności. Popatrzmy po sobie
– To my? My z ich marzenia? Mściciele z ich kości?
My – drugi brzeg nadziei
za przepaścią głuchą – w aniołów przerobieni – pamiętasz?
– ich skrucą
już zbawieni od grzechów, obmyci z podłości.
– To w nas miało się ziścić, za czym oni marli
Z tęsknoty donkichockiej, nędzarze, wygnańce,
jak kamienie przez Boga rzucone na szańce.

Ale się nie godzili, ale nie wyparli,
by w nas mogło się ziścić
a ono się ziszcza.
A oto nad Warszawy trupem panichida,
bez krzyku Słowackiego, bez skargi Norwida.
I straszniej niż mogiły, i gorzej niż zgliszcza.
Ci, którzy po nas przyjdą – jakim cudem pojną,
jak odgadną tę klęski naszej tajemnicę –
że była poza mapą bitew, poza wojną,
poza wojskiem i wodzem, i nie w polityce.
Ale tam była, gdzie na sąd stawa boski,
na rozprawę ostatnią – krwawy cień pieniacza,
który jeszcze za grobem Bogu nie przebacza
i wadzi się – bezgłowy Samuel Zborowski –
już nie o tę czerwoność Polski, albo białość,
o władzę nad duszami, lub o słupek graniczny.
Ale prowadzi z Bogiem spór lucyferyczny
o wielkość, albo podłość – o wzniosłość lub małość.
Chmury wieją nad ziemią jak chorągwie czarne.
O co wolno się modlić po przegranej bitwie?
by znowu – nasza klęska – nie poszła na marne.
Ale żal, zamiast pomóc, przeszkadza w modlitwie.
Zanim spłoniesz na stosie, o warszawska chwało,
zwiążą twoje usta, ręce będą pętać.
Przyjaciele – to wszystko, co nam pozostało –
Żałować. Płakać? – płakać. Pamiętać? – pamiętać.

Witold Hulewicz

ur. 26 listopada 1895 r., zm. 12 czerwca 1941 r.

Mogiła na skwerze

Nogą można potrącić, tuż obok rynsztoka
w biednych kwiatach i hełmu stalowym rynsztunku.
Krzywy napis: „Nieznany” – i z błota powłoka,
i słowa twardej chwały: „Padł na posterunku”.

Jemu to się należy najszczerzy z pacierzy,
co umierając szeptał: Warszawy nie damy!
Grób na skwerze ulicznym, krzyż z okiennej ramy...
Taka mała mogiłka, a w niej wielkość leży.

Anna Jachnina

ur. 26 maja 1914 r., zm. 20 lipca 1996 r.

Siekiera motyka

Siekiera, motyka, bimbru szklanka,
w nocy nalot, w dzień łapanka,
siekiera, motyka, światło, prąd,
kiedyż oni pójdą stąd.

Siekiera, motyka, piłka, szklanka,
we dnie alarm, w noc łapanka,
siekiera, motyka, piłka, gwóźdź,
masz górala – to mnie puść.

Co tu robić, o czym śnić,
Szwaby nam nie dają żyć.
im kultura nie zabrania,
na ulicach polowania!

Siekiera, motyka, tramwaj, buda,
każdy zwiewa, gdzie się uda,
siekiera, motyka, igła, nić,
już nie mamy gdzie się skryć.

Siekiera, motyka, piłka, linka,
tutaj Prusy, tam Treblinka,
siekiera, motyka, światło, prąd,
drałuj draniu wreszcie stąd.

Po ulicach gonią wciąż,
patrzą kogo jeszcze wziąć.
Ich kultura nie zabrania,
po ulicach polowania!

Siekiera, motyka, styczeń, luty,
Hitler z Ducelem gubią buty,
siekiera, motyka, linka, drut,

już pan malarz jest kaput.
Siekiera, motyka, piłka, alasz,
przegra wojnę głupi malarz,
siekiera, motyka, piłka, nóż,
przegra wojnę już, już, już.

Zbigniew Jasiński

ur. 12 listopada 1908 r., zm. 5 lutego 1984 r.

Żądamy amunicji

Tu zęby mamy wilcze, a czapki na bakier,
tu nas nikt nie płacze w Walczącej Warszawie.
Tu się Prusakom siada na karku okrakiem
i wrogów gołą garścią za gardło się dławi.

A wy tam wciąż śpiewacie, że z kurzem krwi bratniej,
że w dymie pożarów niszczy Warszawa,
a my tu nagą piersią na strzały armatnie,
na podziw wasz, na śpiewy i na wasze brawa.

Czemu żałobny chorał śpiewacie wciąż w Londynie,
gdy tu nadeszło wreszcie oczekiwane święto!
U boku swoich chłopców walczą tu dziewczęta
i małe dzieci walczą, i krew radośnie płynie.

Halo! Tu serce Polski! Tu mówi Warszawa!
Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji!
Nam ducha starczy dla nas i starczy go dla Was!
Oklasków nie trzeba! Żądamy amunicji!

Mirosław Jezierski

ur. 20 września 1922 r., zm. 30 lipca 1967 r.

Mała dziewczynka z AK

Ta nasza miłość jest najdziwniejsza,
bo przyszła do nas z grzechotem salw,
bo nie wołana, a przyszła pierwsza,
gdy ulicami szedł wielki bal.

Szła z nami wszędzie przez dni gorące,
gdy trotuary spływały krwią,
przez dni szalone, gwiazdziste noce,
była piosenką, uśmiechem, łzą.

Moja Mała Dziewczynko z AK,
przyznasz chyba, że to wielka była gra,
takie różne były końce naszych dróg
i nie wierzę, bym Cię znowu ujrzeć mógł.

Choć na dworze była jesień, u mnie wiosna,
i bez trwogi, że dokoła płonął świat,
tak na wskroś Cię przecież wtedy chciałem poznać,
moja Mała Dziewczynko z AK.

Nadzieją tchnęła, tak jak umiała,
kryła się z nami we wnękach bram,
w ciasnych ulicach, mrocznych kanałach,
bo już się wielka kończyła gra.

Kiedy się wszystko dla nas skończyło,
kiedy ostatni zamilkł Pe-eM,
na barykadzie została miłość,
razem z Twym sercem i żalem mym.

Moja Mała Dziewczynko z AK,
przyznasz chyba, że to wielka była gra
i tak różne były końce naszych dróg,
przecież ujrzeć Ciebie już nie będę mógł.

Dziś na dworze szara jesień, u mnie jesień
i ta trwoga, choć dokoła spłonął świat,
już mi Ciebie nic nie wróci, nie przyniesie,
moja Mała Dziewczynko z AK.

Marsz Mokotowa

Nie grają nam surmy bojowe
i werble do szturm nie warczą,
nam przecież te noce sierpniowe
i prężne ramiona wystarczą.

Niech płynie piosenka z barykad,
wśród bloków, zaułków, ogrodów,
z chłopcami niech idzie na wypad,
pod rękę, przez cały Mokotów.

Ten pierwszy marsz ma dziwną moc,
tak w piersiach gra, aż braknie tchu,
czy słońca żar, czy chłodna noc,
prowadzi nas pod ogniem z luf.

Ten pierwszy marsz to właśnie zew,
niech brzmi i trwa przy huku dział,
batalion gdzieś rozpoczął szturm,
spłynęła łza i pierwszy strzał!

Niech wiatr ją poniesie do miasta,
jak żagiew płonąca i krwawą,
niech w górze zawiśnie na gwiazdach,
czy słyszysz, płonąca Warszawo?

Niech zabrzmie w uliczkach znajomych,
w Alejach, gdzie bzy już nie kwitną,
gdzie w twierdze zmieniły się domy,
a serca z zapału nie stygną!

Ten pierwszy marsz ma dziwną moc,
tak w piersiach gra, aż braknie tchu,
czy słońca żar, czy chłodna noc,
prowadzi nas pod ogniem z luf.

Ten pierwszy marsz niech dzień po dniu,
w poszumie drzew i w sercach drży,
bez próżnych skarg i zbędnych słów,
to nasza krew i czyjeś łzy.

Sanitariuszka Małgorzatka

Przed akcją była skromną panną,
mieszkała gdzieś w Alei Róż,
miała mieszkanie z dużą wanną,
pieska pinczerka, no i już.

I pantofelki na koturnach
i to, i owo, względnie, lub,
trochę przekorna i czupurna
i tylko „Mewa”, albo „Klub”.

Na plażę biegła wczesnym rankiem,
aby opalić wierzch i spód,
dzisiaj opala się z junakiem
i razem z nami wcina miód.

Sanitariuszka Małgorzatka,
to najpiękniejsza, jaką znam,
na pierwszej linii do ostatka,
promienny uśmiech niesie nam.

A gdy nadarzy ci się gratka,
że cię postrzelą w prawy but,
to cię opatrzy Małgorzatka,
słodsza niż przydziałowy miód.

Ta Małgorzatka to unikat;
gdym na Pilicką dzisiaj wpadł
czytała głośno komunikat,
a w dali głucho walił piat.

Tak jakoś dziwnie się złożyło,
że choć nie miałem żadnych szans.
Niespodziewanie przyszła miłość,
jak amunicja do pe-panc.

Idylla trwałaby do końca,
lecz jeden szczegół zgubił mnie,
dziś z innym chodzi po Odyńca,
bo on ma stena, a ja nie.

Sanitariuszko Małgorzatko,
jakże twe serce zdobyć mam,
choć sprawa wcale nie jest gładka,
już jeden sposób dobry znam:

Od „Wróbla” dziś pożyczę visa
i gdy zapadnie ciemny mrok,
pójdę na szosę po „tygrysa” –
w ręce Małgosi oddam go.

Eugeniusz Kolanko

ur. 15 sierpnia 1919 r., zm. 27 maja 1944 r.

Nie pójdę nigdy do teatryku!
– Po co mi płakać z naszych komików?...
Nie pójdę nigdy do kabaretu –
choćby wpuszczali i bez biletów.
Słuchać Waltera, śmiać się z Fertnera –
ja już nie mogę, bo mnie cholera...

Choćby prosiło mnie moje dziewczę:
– „Chodź na Hanusza”. Nie pójdę. Nie chcę!
A kto jest lepszy? – spytają (a nuż!)
Czy Karol Hanusz, czy Wolian Janusz?
Na to pytanie zaginam parol:
Pod psem jest Janusz! Pod psem jest Karol!
A wtedy Hanusz i Wolian Janusz
powiedzą (a nuż!), że jestem chamuś...
Przez Bittnerównę i Wolską Inę,
przez Polakównę i przez Lawinę,

Przez Krukowskiego i przez Janusza...
Przez Pawłowskiego i przez Hanusza –

Nie pójdę nigdy do kabaretu
choćby wpuszczali i bez biletów.

[Kraków, 1943]

Krystyna Kraheńska

ur. 24 marca 1914 r., zm. 2 sierpnia 1944 r.

Hej chłopcy, bagnet na broń

Hej chłopcy, bagnet na broń!
Długa droga, daleka przed nami,
mocne serca, a w ręku karabin,
granaty w dłoniach i bagnet na broni.

Jasny świt się roztoczy, wiatrowieje nam oczy
i odetchnąć da płucom, i rozgorzeć da krwi,
i piosenkę jak tęczę nad nami roztoczy
w równym rytmie marsza: raz, dwa, trzy...

Hej chłopcy, bagnet na broń!
Długa droga daleka przed nami, trud i znój,
po zwycięstwo, my młodzi, idziemy na bój,
granaty w dłoniach i bagnet na broni.

Ciemna noc się nad nami roziskrzyła gwiazdami,
białe wstęgi dróg w pyle, długie noce i dni,
nowa Polska, zwycięska, jest w nas i przed nami
w równym rytmie marsza: raz, dwa, trzy...

Hej chłopcy, bagnet na broń!
Bo kto wie, czy to jutro, pojutrze, czy dziś
przyjdzie rozkaz, że już, że już trzeba nam iść,
granaty w dłoniach i bagnet na broni.

Kołysanka

Smutna rzeka, księżyc po niej pływa,
senne dłonie chyli nad nią klon,
śpij, dziecino, nic się nie odzywa –
śpi w mogiłach zakopana broń.

Senna rzeka, usnął las cienisty,
srebrne gwiazdy spadły w ciemną toń,
gdzieś po polach, gdzieś po lasach mglistych
czujnie drzemie zakopana broń.

Smutna rzeka, księżyc w dal odpłynął,
ciemna noc na liściach kładzie dłoń,
śpij, dziecino, śpij, żołnierski synu,
już niedługo obudzimy broń.

Modlitwa

Chryste Panie, z przydrożnych połamanych krzyży,
krzyżowa nasza droga, droga – do zwycięstwa!
Daj nam siłę wytrwania, daj nam wolę męstwa
i Polskę oczom naszym strudzonym przybliżaj.

Skrzywdzony Zbawicielu spalonych kościołów,
każdą kroplę krwi naszej przemień nam – na ołów.
Przetrywamy gdzieś w podziemiach, jeśli tego trzeba,
by jak ukryta woda wytrysnąć z ukrycia.

Daj nam, Chryste przydrożny, silną wolę życia –
i daj nam śmierć żołnierską, jeśli umrzeć trzeba.
Poprzez ciemność i burzę daj nam iść najprościej
drogą do Nowej Polski – drogą do Wolności.

Gdy przyjdzie czas odlotu do krainy innej –
chcę odlecieć w porywie szczęścia i natchnienia,
jak ptak, co uciekając z ziemi niegościnniej,
ziemię – na niebo zamienia.

Niebo nad nami

Niebo jest nad nami, mój braciszku, to samo,
pełne gwiazd jak czara nalana po brzeg złotem słońca,
tylko droga od ciebie do mnie daleka...
Nie wiemy – kiedy się skończy...

Teraz niebem ciągną ptaki, braciszku, bo jest wiosna,
kluczami żurawie, kluczami gęsi...
Pod pełnią czajki w nocy budzą się krzykiem żałosnym,
a mnie się zdaje, że to może srebrne karawany
samolotów płyną z daleka jak ptaki.

Wiatrem wiosennym przygnane.
I własne serce mnie budzi,
w środku nocy wali z łoskotem...
...że to może na granatowym niebie
rozkrzyżowały się skrzydła srebrzyste

Twego, braciszku, samolotu...

O wojence

O wojenko, wojenko, jaka siła w tobie...
cicho śnią twoi chłopcy w płytkim swoim grobie.
Na ulicach Warszawy, pod Mławą, pod Rawą
polegli młodą śmiercią, jaskrawą i krwawą.

Gorzko śnią twoi chłopcy w płytkim swoim grobie
a Polskę – niby ziarno w roli – mają w sobie.
Gorzkim piołunem, trawą, nie pękiem róż białych,
nie jak w piosence – groby po Polsce rozsiałaś.

O wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani...
Drugi rok siedzą chłopcy – ponumerowani
[.....]
– A Polska jest tam z nimi razem – za drutami
o wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani...

Hej wojenko, wojenko, jakaś ty szalona,

Siłę w tych polskich chłopcach niełatwo pokonać
w Francji, Belgii czy Grecji, wśród piasków Sahary
trud dróg najkrwawszych wzięli na swój mundur szary,
Polskę niosą w sercach i ramionach.
Hej wojenko, wojenko, jakaś ty szalona!

Juliusz Krzyżewski

ur. 17 maja 1919 r., zm. 26 sierpnia 1944 r.

W odwrocie

Ciągnęliśmy kluczem za nocą w pogoni,
mgły włosy wicherzyły grzyw karby u koni,
spod kopyt pryskały gwiazd błyski zbłąkane,
u pysków zwisało zmęczenie, jak siana
pęk parny wyrwany w pochodzie ze stogu,
a w księżyc, złocistą podkową na progu
przybity przed nami u kresu wędrówki,
szły mlecznych dróg pyły szeregiem jak mrówki.

(A jeden z nas nucił piosenkę wesołą,
a drugi cień nocy nasunął na czoło,
a jeden w łzy kropki kotysał sen słodki,
a drugi w klaskanie zasłuchał się podków,
a jeden powiedział, co drugi pomyślał,
a żaden nie wiedział, jak droga jest bliska).

Ciągnęliśmy kluczem za nocą w pogoni:
Rzemienie skrzypiały, chrzęściła stal broni,
gałęzie nam rosły skrzydłami u ramion,
że każdy był w piórach przejrzysty jak anioł
i tylko przeczuwał zmęczenie bezsenne,
i czuł pod mgły falą dno drogi kamienne,
gdy konie gubiły swych oczu odbicie
wśród nocy zmaconej jak woda w korycie.

(A jeden wzrok trzymał w księżycu przed sobą,
a drugi zakreślił ramieniem łuk obok,
a jeden w twarz zająztał drugiemu i z bliska
zobaczył, jak blizna łun krwawych się ślizga,
a drugi na ustach krzyk pięści zgniótł siłą,
a wszyscy krzyczeli, a słyhać nie było).

27 marca 1940

Zbigniew Łenka

ur. 28 marca 1929 r., zm. 8 stycznia 2021 r.

Łączniczka

masz siedemnaście lat
dziewczyna z warkoczami
idzie na wojnę
tylko dlaczego
tak wali serce
pod bluzką
z angielskiego spadochronu

przecież jesteś dorosła
przenosisz broń
pomagasz śmierci
a później płaczesz

dawniej uczyłabyś się francuskiego
dobrych manier
i gry na fortepianie
a dzisiaj w torbie
dźwigasz swój los

dali ci lek
na milczenie
i już się nie boisz
bo wiesz że
umarli nie mówią

nauczyli cię strzelać
ale nie próbowałaś
jabłka z drzewa miłości
nikt ci nie powiedział
jaka jesteś piękna

Eurydyko
daremnie czekasz na Orfeusza
on nie przyjdzie
bo choć sierpień
idzie przez miasto
w powstańczej panterce
to skowronki już odleciały

1944

Godzina „W”

nabili broń nienawiścią
do gardła tamtych
przyłożyli grot
wiernego gniewu
pamięć mają utkaną
z twarzy nieobecnych

chłopcze z biało-czerwoną
opaską na sercu
czy słyszysz tętent
swoich myśli
to pędzą konie marzeń

generale
nie jesteś Bogiem
aby powstrzymać szarżę
naszej krwi

Panie nim dojdziemy
przetnij skorupy bunkrów
zakryj oczy tygrysom
daj ogień oddechom
niech zapalą
dzisiejszy wieczór
aby spłonął
niemiecki dzień

idziemy dzisiaj
bo nigdy nie ma
dobrej pory na śmierć
wstaje świt nie pokornych
zaraz spadnie
głowa tyrana

Boże Ty wiesz
że musimy
daj nam swobodę
wiatru
i nie pozwól przekroczyć
progu klęski

1944

Powstańczy listonosz

chłopcze
czy pamiętasz
jak niosłeś list
od generała „Bora”
do Pana Boga
aby zesłał
orszak aniołów
z odsieczą opuszczonym obrońcom

ostemplował go
mglisty październik
zegar twojej
pamięci
zatrzymał się
na godzinie „W”
a ty chodzisz
w mundurze wspomnień

jeżeli umarłeś
nazywają cię bohaterem
jeżeli żyjesz
do końca
swoich dni
będziesz tylko
powstańczym listonoszem

Stanisław Marczak-Oborski

ur. 26 grudnia 1921 r., zm. 11 sierpnia 1987 r.

Miastu

Dymy i łuny, i proch pożarów –
wszystko to zna od dawna miasto.
A bohaterstwo, co świeci jaśniej,
ani na chwilę tu nie zagasło.

Więc jakie słowa, proste bardzo,
ustawić w barykadę dzisiaj,
gdy dzień pierwszego sierpnia stanął,
słupami dymu dźwignął stolicę.

Potem szeregiem – wschody, zachody,
w uśmiechach rannych, wiotkich bibułkach.
Niebem spływały fale deszczów,
jak niespokojne, lotne jaskółki.

Lecz nie patrz w niebo – brudne bardzo –
gdy pocisk w ciało zapuka lekko,
krzyż samolotu rozpięty w górze
zamienił niebo w ogniste piekło.

A serce Twoje tak jest proste –
chleb żołnierzowi podany z ręki.
Mówić o Tobie pragnę, Warszawo,
w słowach lirycznych, jak lot, i miękkich.

Do Powstańca

Pamiętaj: nie wolno ci zwątpić
w wolność, co przyjdzie, choćbyś padł.
Pamiętaj, że na ciebie patrzy
ogromny i zdumiony świat.

I wiedz, że krokiem w nędznym bucie
jak pomnik dziś w historię wrastasz.
I wiedz, że w sercu twoim bije
uparte serce tego miasta.

Choćby zawiodła wszelka pomoc,
choć przyjdą dni głodu i moru,
ostatniej stawki nie przegramy
– stawki naszego honoru.

Wojciech Mencil

ur. 21 maja 1921 r., zm. 13 września 1944 r.

Księga miraży

Wieczory od łez sine i latarnie smutne
bardziej niż tamte noce, gdy garściami z nieba
wiatr sypał w okno gwiazdy:
Noc, pokój srebrniał w mroku,
a oczy pełne światła, gorące jak morza
błądziły nieruchomo po kutyk broszkach zodiaku.
Patos mistycznych rozżaleń...
mój smutny przyjacielu! – święty Franciszek umarł...
Kochasz zastygłe kwiaty?
Umarłe kwiaty czy kochasz? patrz! – złote kaplice ptaków
w kompozycjach cieni na witrażach
światłocieniem przesuwają się z wolna.
Melodia, której nie słuchasz,
Muzyka
zaraz umilknie w organach –
nie odwracaj myśli od serca:
kościół najpiękniejszy są rano.
Linia życia łagodnie
na twojej dłoni wygięta ku światłu
– odloty ptaków nie obce –
zapadłeś w świętą geometrię nocy
ukochaniem sosnowych pniaków.
Poręczami słów się chwytałeś – ukosem przebiegał zakręt –
kroki dudniły jak pieniądź –
myślałeś ----
magiczne formuły zaklęć uchylą piękno?
A pola były jak miłość
i między krokiem szerokie
– kolumbiadami snów, wpływ, przeciw prądom –
na zboczach kwietnych gór,
na krawędziach mistycznych ołtarzy
– odpoznasz ciepło rąk drogich
znalezione w Księdze Miraży.

Dziewczynom słodczy odrzucić, banalnym jak zwrotki,
uśmiechy oczom odcięte niech płyną w ekstazach w błękit!
Młodość
my
na powiekach rzęsami
Jak do modlitwy przymkniętych
wstrzymamy przeciekającą młodość.

Marian Piechal

ur. 24 sierpnia 1905 r., zm. 9 grudnia 1989 r.

Warszawie

Ilu ich padło, niech nikt nie pyta.
Nieważna liczba, krew ani gruz.
Ważny heroizm, treść w czasie skryta,
Miarą dla dziejów, pokarm dla Muz.

Tym, co ich wiedli, hańba wieczysta
i niepamięci dziejowej pył.
A im, poległym – cześć wiekuista!
Dzieje ich wplotły w krew swoich żył!

Tryumfującej, lecz nie zwycięskiej
przemocy, którą żre rdza i pleśń,
jak kamieniowi woda, znad klęski
przeciwstawiała się wiara i pieśń.

Nie tym, co dzieli, lecz tym, co brata,
staje się każdy, kto w Sprawie padł.
Nie tylko żywy motorem świata –
Trup z ziemi także buduje świat.

Od dział mocniejsze było krwi bicie,
miotacze ognia celniejsze z serc:
nam z naszej klęski wynikło życie,
im z ich przemocy wynikła śmierć.

Stolicę dawną z krwi i kamienia,
przybierającą z ziemi jak nów,
odbudujemy lepszą z sumienia,
piękniejszą z myśli, trwalszą ze snów.

Ewelina Pilawa

ur. 24 lipca 1975 r.

63 dni

63 dni prawie się nie myłem

63 dni nie spałem

63 dni nie widziałem matki

63 dni trwałem

63 dni byłem wolny

żyłem

63 dni byłem dumny

stałem

63 dni Warszawo kładę ci pod stopy

63 dni chwały

Bądź ze mną

Bądź ze mną
gdy przez gruzy pędzę jak przez przeszkody
jak w biegu na czas
Bądź ze mną
gdy z rozwianą grzywką
nieświeżym oddechem lgnę do twoich rąk
Bądź ze mną
kiedy męskim krokiem
w dziecięcych butach pognam prosto w krzyk
Bądź ze mną
gdy będę podchodził pod bramę niebieską
Warszawo

XXX

Batalion „Zośka” broni się jeszcze
„Ryś” jeszcze się broni
chłopcy z „Parasola” proszą o konserwy
w „Miotle” zabrakło broni

U „Dzika” wczoraj było wesele
„Pięść” nadal nie traci ducha
„Gozdawa” trzyma Niemca za mordę
w „Dysku” szaleje kostucha

„Tur” ostrzelany
„Ruczaj” odcięty
„Bończa” o wsparcie pyta

U „Gustawa” feta
„Harnaś” stracił łączność
w „Oazie” stypa

Józefa Radzymińska

ur. 1 czerwca 1921 r., zm. 3 września 2002 r.

Z okiennej ramy krzyż

Nocą się budzę i patrzę na świat
przez krzyż z okiennej ramy.
Przede mną wrogie pręgi krat
i krwi zastygłe plamy.
I kroki
ciężkie
gwoździście worane w serce.
Z okiennej ramy krzyż
zamiast błogosławić klnie. Nie mogę spać.
O, Panie, czemu dziś
przekleństwem więzisz mnie!
O, Panie, czemu znów
krzyżujesz swoich wiernych.
Odmawiasz nocą snów
krzyżem z ramy okiennej.
Mam życia całkiem dość
czy to właściwie życie?

Boleśnie krzyczy ktoś
zdławionym krótkim wyciem.
O, Panie, weź mnie stąd
na Twoje ciche niże,
na twój świetlisty łąd –
z okiennej ramy krzyżem.

[Pawiak 1944]

Ostatnia modlitwa

Odchodzą w chwale starzy weterani,
szeregi za szeregiem, groby za grobami,
zostawiają po sobie skrwawione sztandary –
Pamięci Narodowa, pomódl się za nami.

Umierają dowódcy, łączniczki, żołnierze,
szeregi za szeregiem, groby za grobami,
zostawiają po sobie walki wieczne echo –
Powstańcza Barykado, pomódl się za nami.

Przemijają, a trwają, odchodzą, a żyją,
szeregi za szeregiem, groby za grobami,
w ucichłych sercach wciąż im płonie miłość –
Armio Krajowa, pomódl się za nami.

Maszerują posłusznie, karni do ostatka,
szeregi za szeregiem, groby za grobami,
by na wieczności wytrwać barykadach –
Warszawo wierna, pomódl się za nami.

Już skamienieli w posąg, w Hostie włączyli
szeregi za szeregiem, groby za grobami,
poglegli, by zmartwychwstać, zabici, by żyli –
Polsko, Ojczyzno nasza, pomódl się za nami.

Jan Romocki

ur. 17 kwietnia 1925 r., zm. 18 sierpnia 1944 r.

Modlitwa Szarych Szeregów

Od wojny, nędzy i od głodu
sponiewieranej krwi narodu,
od łez wylanych obłąkanie,
uchroń nas, Panie.

Od niepewności każdej nocy,
od rozpaczliwej rąk niemocy,
od lęku przed tym, co nastanie,
uchroń nas, Panie.

Od bomb, granatów i pożogi,
i gorszej jeszcze w sercu twogi,
od twogi strasznej jak konanie,
uchroń nas, Panie.

Od rezygnacji w dobie klęski,
lecz i od pychy w dzień zwycięski,
od krzywd – lecz i od zemsty za nie,
uchroń nas, Panie.

Uchroń od zła i nienawiści.
Niechaj się odwet nasz nie ziści.
Na przebaczenie im przeczyste,
wlej w nas moc, Chryste.

Tadeusz Różewicz

ur. 9 października 1921 r., zm. 24 kwietnia 2014 r.

Ocalony

Mam dwadzieścia cztery lata
ocalałem
prowadzony na rzeź.

To są nazwy puste i jednoznaczne:
człowiek i zwierzę
miłość i nienawiść
wróg i przyjaciel
ciemność i światło.

Człowieka tak się zabija jak zwierzę
widziałem:
furgony porąbanych ludzi
którzy nie zostaną zbawieni.

Pojęcia są tylko wyrazami:
cnota i występki
prawda i kłamstwo
piękno i brzydota
męstwo i tchórzostwo.

Jednako waży cnota i występki
widziałem:
człowieka, który był jeden
występny i cnotliwy.

Szukam nauczyciela i mistrza
niech przywróci mi wzrok słuch i mowę
niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia
niech oddzieli światło od ciemności.

Mam dwadzieścia cztery lata
ocalałem
prowadzony na rzeź.

Bronisława Romanowska-Mazur

ur. 15 lutego 1926 r., zm. 11 maja 2018 r.

Powstańcy 1944

wynurza się z szarości miasto
w ten dzień sierpniowy opustoszałe
tylko opaska biało-czerwona na rękę
chłód stali w determinacji

kilka przemoczonych deszczem dni
noc z pierwszego na drugiego
do lasu za Warszawską szli i szli
ich czas nadszedł

było ich z tysiąc może więcej
z Sienkiewicza Kwiatowej Balonowej
Parkowej Polnej i innych
Przeszkoleni w plutonach kompaniach
Batalion pierwszy drugi i trzeci

między nimi z opaskami białymi
z czerwonym krzyżem w tle
młodziutkie dziewczyny z torbami opatrunków
być może kropla niejedna krwi wsiąknie
w te bandaże przez nie niesione
czołgi na szosie wystrzałów huk
i dwa z karabinu krótkiego
za chwilę salwa cała zabrzmiała
wtoczył się olbrzym na pagórek piaszczysty
zginęli... trzech ich było z lilijką

na Przystanku strzały
z pociągiem pancernym zmierzył się

siedemset piąty i dziesiąty
pociąg rozbrojony
dowódca padł...

a potem do Kampinosu
z miasta przez szosę Modlińską do Wisły
sygnały świetlne strzały
przeprawa taka trudna
ale ich czas nie skończył się

(1944)

Andrzej Powstaniec

*Andrzejowi z okazji nadania tytułu
Honorowego Obywatela Miasta Legionowa*

kompania zaborowska
dowódca jednego plutonu
„Kord” nazwisko NN
„Jastrzębiec” napisał

w tamtych dniach anonimem był
jak wielu innych
nad poziomy młodością
dorosłych terkotem broni

dymy w górze czterdziesty czwarty
oddział w puszczy zatopiony
Oddziałów Dywersji Bojowej dowódcy zastępca
grupa Kampinos kompania „Zemsta”

atak na Dworzec Gdański
to nie pozycyjnie okopany
żołnierz spod Tobruku
czekający zabezpieczony

to powstaniec sierpniowy
ciężkim ekwipunkiem obciążony
biegnie przez gołą przestrzeń
rakietami nieprzyjaciela rozjaśnioną
przestrzelaną w kwadracie każdym
huk wystrzałów – przejdą...
z ciężarem czterdziestokilogramowym
amunicji dla tych na Starym Mieście

(nie uwierzysz że to naprawdę
tak było)
wycofują się w huk ognia
by bez rozkazu ponownie iść
nikt nie rezygnuje
on też nie

(1 sierpnia 1999 roku)

Tobie Warszawo

*Fotografom i kinooperatorom
Powstania Warszawskiego*

Oni
Ku Tobie Warszawo szli
z aparatem i kamerą w tamte dni
zadymione, hukiem nasycone
zapałem serc tysięcy
tych młodych gniewnych
racji swych pewnych

Szli ku Tobie Warszawo
„Kania”, „Krys”, „Bończa”, „Janina”
„Czarna Elka” z imieniem
Zbigniew Romanowski, Eugeniusz Lokajski
I inni z „NN” w zapisie.

Cztery albumy z ich kadrami
na mahoniowym stole leżą
drżącą ręką
tej w przeszłość wpatrzoną
położone.

W tym pierwszym
twarz Krysi Kraheńskiej
Syreny Warszawskiej,
W warkoczy chmurze jej słowa
już wiecznie „Hej chłopcy...”

Ten drugi „Bończa” z Powiśla
tyle portretów w ułamku chwili zatrzymuje
gdy krew była czymś powszednim
a modlitwa o karabin chlebem codziennym.
Tych niespełnionych poetów,
muzyków, lekarzy, studentów, uczniów
z opaską i bronią na szanćcach
i przed krzyżami
wzruszenia ramieniem
grupę harcerek i harcerzy
poczty polowej obejmuje,
a tacy oni pogodni i zdecydowani
w tym swoim przedziale 14–18 lat.

W trzecim „Krys”
ukłęknać nam każe
z dziewczynką małą
przy grobach, do których
tulą się krzyże drewniane
naprędce zabijane z miłością,
bólkiem tkliwością.
Kwiaty z ogrodów się na nich bielą,
jak skrwawionego szarpie bandaża.
Spadającą cegłę wstrzymuje
na złamanym ramieniu okna,
z którego już tylko dym i gruzy
w przestrzeni...

W tym czwartym
jak czarno-białe jaskółki
lotem błyskawicy
rozbiegali się po stolicy
oknach, dachach i kanałach
muru szczelinach, barykadach.

Mądrzy, wrażliwi, zdecydowani,
troskliwi o dokument, świadectwo prawdy.
Maria Rodziewiczówna
dedykuje Stefanowi Bagińskiemu
na tomiku „Anima vilis”
„W 1944 w sierpniu
W bohaterskiej Warszawie
na pamiątkę wielkich dni stolicy”.

Chociaż świat się walił,
od zapomnienia ratowali
wypalone nadzieje,
okna z widokiem na śmierć,
ulice bez chodników i jezdni,
domy bez mieszkań,
pustynne labirynty gruzów,
ściany obnażone z tynków,
martwy świat ogrodów,
powietrze z ceglanego pyłu,
cmentarze pod murami
z krzyżami.

Oni foto – i kinooperatorzy
Hołd złożyli
Tym – kulom przeszytym,
Tym – granatem rozerwanym,
Tym w ogniu konającym,
Tym – z niewinnością w oczach błękiecie,
Tym – z dumą krocącym po walce,
Tym – dziewczynom z podniesionymi głowami,
tej legendzie, która jest prawdą
w bieli margerytki
i maku czerwonego zamkniętą.

Oni,

Tobie Warszavo,
najwspanialszy pomnik wystawili
tamtych dni
Powstania Warszawskiego –
krzyku młodości
co w walce o Polskę
nad poziomy wyrosła.

*Na otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego,
1 sierpnia 2004*

Zygmunt Jan Rumel

ur. 9 lutego 1915 r., zm. 11 lipca 1943 r.

Na śmierć poety

A kiedy go z wami nie będzie –
usypcie mu kurhan stepowy –
aby słyszał, jak burzan pieśń gędzie
i wiatr stepem przewala się płowy...

By mu miesiąc wstający z limanów
oczy prószył kitajką czerwoną...
I kląskanie by słyszał bocianów,
gdy piórami lotnymi wiatr chłonał...

Niech tam orły dziobami pieśń skraszą,
a teorban piosenką zakwili...
Bo o wolę on waszą i naszą
śpiewał – zanim odpoczął w mogile...

Niech tam zmierzchy siniejąc rozgarną
błękit nieba najczystszy i skromny –
aby nocą wieczyście już czarną
patrzył w wszechświat ponad nim ogromny!

Władysław Sebyła

ur. 6 lutego 1902 r., zm. 11 kwietnia 1940 r. w Piatichatkach pod Charkowem

Żołnierz nieznany

Pękł wystrzał honorowy
i huk ostatni plusnął w powietrze kamieniem.
Dostojnicy odkryli tysiące głów
zapadło milczenie.

Sekunda – dwie – trzy – cztery –
milczeć i stać! Do cholery!
Tramwaje! auta! stać! psiakrew!
Tu – dziś – się – honoruje krew – przelaną krew!

Sekund pięć – siedem – osiem – dwanaście...
Szept, jak świecę, zdmuchnijcie, zagaście...

Nad tłumem cisza nieba osiadła straszliwa...
Chłop w zbitej gęstwie stanął, na boki się kiwa,
i myśli – czemu wszystko milczy jak zakłętę?
Czemu sześćdziesiąt sekund zrobiło się święte?
A cisza krzyczy hukiem sześćdziesięciu sekund,
ile – po czterech latach – człowieka – zostało – w człowieku.

Sekund dwadzieścia – trzydzieści – czterdzieści...
Wiatr flagami na dachach szeleści...

Huk milczenia obudził żołnierza.
Nastawił dziurę w czaszce, wybitą przez granat.
Słucha, jak cisza grudą o trumnę uderza.

Jak skowronki nad polem pośpiewują z rana,
jak ziemia dyszy zwolna westchnieniem głębokim...

Pięćdziesiąt dziewięć – sześćdziesiąt – Huk!
Ulewa ćwieków runęła na bruk
i piechota ruszyła z miejsca – równym krokiem.

Antoni Słonimski

ur. 15 listopada 1895 r., zm. 4 lipca 1976 r.

Mogiła nieznanego mieszkańca Warszawy

Antyczni, nadzy i ogromni,
zastygli w krzyk kamiennych warg,
których na łukach tryumfalnych ark
ustawią kiedyś w rząd potomni.

Bohaterowie wielkich dni,
na tle chorągwi i barykad,
antyczni, nadzy i ogromni,
O których co dzień komunikat
Podawał światu rapsod nowy.

O was historia nie zapomni
i narodowy rzuci pieśniarz
ziarno męczeńskiej waszej krwi
i posiew cierpień,
i uniesień
na nowy Sierpień,
nowy Wrzesień,
na nowych dni sześćdziesiąt trzy.

O was historia nie zapomni,
lecz któż na grobach będzie siadał
tych, którzy trwożni i bezdomni
padali mrowiem niezliczonym,
któż się o milion ten upomni?
i jak pieśniarz będzie składał
słowa gorące i szalone
o tych, co w cieniu waszej glorii,
bez narkotyku wielkich czynów
konali w męce dla wawrzynów,
co wasze skronie ozdobiły,
rzucając pomiot ciał swych zgniłych
w dymiący, krwawy gnój historii?

Dla was pieśń moja i łzy moje,
zwyczajni, prości, nieogromni,
stokroć was więcej padło w boju,
lecz któż imiona wasze wspomni?
tragarze, szewcy, rzemieślnicy,
doktorzy, krawcy i służące,
żony i siostry, co miesiące
skryte wśród gruzów po piwnicach,
przez to szaleństwo krwi i chwały,
w mękach, w rozpaczach umierały,
dla was łzy moje, łzy gorące.

A gdy na zgliszcza wróci życie,
na narodowy święty grób
gdy kości będą zbierać z szańca,
aby z nich dźwignąć pomnik sławy,
niech na cmentarnej będzie płycie
ten napis prosty, napis krwawy:
Tu leży Trup
nieznanego Mieszkańca
Warszawy.

1944

Paweł Soroka

ur. 3 września 1953 r.

Warszawscy Powstańcy

Wokół Was chmury
ognia i drzenie serc w nas
prawie jak odgłos wielu
dzwonów

i gdy ciemność dymów ciężkich
zasłania świeżość świtu
i dążące ku nam miecze
promieni

z tak odległej kuli słońca
może tych kul jest dużo więcej
bo obok nas czerwono-pomarańczowe
eksplozje obłoków

a grzmoty te rozchodzą się przeogromnie
jak burze bliskie i odległe
echa jęków

I gdy lato jeszcze trwało
ich dusze uszły przedwcześnie
a ciał stopy jak mury
rozbite

tak przerwano im przyszłość
ich marzenia zastygły
na zawsze

zostawili strofy nie napisane
ich wiersze ledwo tylko
napoczęte

małżeństwa co dopiero zawarte
a metrykami ich wiatr
szeleści...

Leopold Staff

ur. 14 listopada 1878 r., zm. 31 maja 1957 r.

Pierwsza przechadzka

Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
będziemy stąpać po swych własnych schodach.
Nikt o tym jeszcze nie mówi nikomu,
lecz wiatr już o tym szepcze po ogrodach.

Nie patrz na smutnych tych ruin zwaliska.
Nie płacz. Co prawda, łązy to rzecz niewieścia.
Widzisz: żyjemy, choć śmierć była bliska.
Wyjdźmy z tych pustych ulic na przedmieścia.

Mińmy bezludne tramwajów przystanki...
Nędzna kobieta u bramy wyłomu
sprzedaje chude, blade obwarzanki...
Będziemy znowu mieszkać w swoim domu.

Wystawy puste i zamknięte sklepy.
Życie się skryło chyba w antypodach.
Z pudłem grzebyków stoi biedak ślepy...
będziemy stąpać po swych własnych schodach.

Ty drzysz, od chłodu. Więc otul się szalem.
Bez nóg, bez ramion, w brunatnej opończy
młodzi kalecy siedzą przed szpitalem.
Widzisz: już pole. Tu miasto się kończy.

Zwalone leżą dokoła parkany,
dziecko się bawi gruzem na chodniku,
kobieta pierze w podwórku łachmany
i kogut zapał krzykliwie w kurniku.

Kot się pod murem przeciąga leniwo,
na rogu człowiek rozmawia z człowiekiem...
Znowu w sklepiku zjawi się pieczywo
i znów zabręczą rano bańki z mlekiem.

Przejdą dni ciężkie klęski i rozgromu
i zapomnimy o ranach i szkodach...
Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
będziemy stąpać po swych własnych schodach.

Zbigniew Stolarek

ur. 20 marca 1920 r., zm. 6 kwietnia 1988 r.

Był 9 września

Dotychczas mam jeszcze w gardle spazm
(przed wspomnieniem uciezka serca nie osłoni)
deszczem jak łzami szary wezbrał dzień,
gdy mi wybiegł naprzeciw nikły ruch twojej dłoni.

Pozdrawiałeś – wiem: ostatni już raz,
– najsmutniejszym ze smutnych żegnaniem
– tak drzewa szum, gdy pod toporem kona;
ręką skinąłeś...

Ruch dłoni po hełmach żandarmskich zadzwonił i zgasł –
tak twe pragnienie, by ujrzeć jak biało-czerwony...

Pozdrowieniem żegnałeś,
ostatni już raz
nikłym ruchem żywej twojej dłoni...

Zdzisław Stroiński

ur. 29 listopada 1921 r., zm. 16 sierpnia 1944 r.

O śmierci

Zarys istot, którymi mógłbym być, ale już nie będę, milczą jak rozrzucone zabawki opuszczone nagle przez dziecko.

Śmierć jest ze mną i we mnie.

Chodzę w niej jak w płaszczu za dużym na mnie – wiejąc szerokimi rękawami i ciągnąc poły po ziemi szeleszczącej jak blacha.

Nieprzeźroczysty zapach mydła i przestrzeni oblepił odejścia moich bliskich, gdy odrywali się od istnienia jak wielkie kawały tynku.

Przeźliwa zagadka ich roztopiania się okratowała mnie w separacie zgrzytliwej i daremnej. Już przestałem rzucać się na kraty, drapię się tylko w głowę i chodzę w kółko.

Śmierć niewyraźna – o tam – mieni się w oczach, rozciąga i kurczy.

Jako chmura ciemności toczy się po niebie spłaszczonym i niskim – potem uwysmuklona nagle romantyczna heroina jest tą, która wdeptuje oczy końcami swych błyszczących francuskich obcasów.

A gdy potok ironii unosi ludzi – drewniane kukły o wyprężonych drętwo rękach i nogach –

pęka z trzaskiem lustrzane przecucie braku mnie, który w pustce pozostałej będzie podskakiwał uwiązany na tykaniu wszystkich zegarów jak na sznurku.

O poległym

Pamięci St. Łomienia [Andrzeja Trzebińskiego]

Przymierzaliśmy postaci tamtych do śladów drobnych, jakby zrobionych pazurkiem wiewiórki, która przebiegła w pośpiechu.

Gdy zrozumiałem cień jego włosów tam, na murze z cegieł czerwonych, niebo szarzało od deszczu i śmierci. Między cegłami w silnym betonie gną się delikatnym jak puch spalonych lasów.

Ach, więc to profil twarzy dziecinnej przechylonej na promieniu słońca?

Wołanie na pustkę pól mazowieckich wyrównanych jesienią?

Spod brzoź w „złotym deszczu” stojących niebo i ciszę przynosić?

To drzewa srebrne i rzeki szumiące bardziej od obłoków i kwiatów pisane w półcień stawania się leżą tu, pod niejasnym wiekiem salwy?

Na tamtej, na tamtej stronie tak już cicho. Krew wypaliła w murze szczelinę na wylot – tam leży pudełko od sardynek, kości zwierzęce i trochę śmieci już nieokreślonych.

To uroczystość zapomnienia, dlatego chodnik umyty odświeżnie. Przechodnie kapeluszami na cegłach rysują gorączkową wieczność. To już pod cegłą, pod płytą, pod asfaltem zamieniony w ciemność opada...

Pośród domów i ruin nieruchomiejących wciąż nieubłaganie ta kapryśna czerwona linia o brzegach rozlanych na asfalcie drży jak niewyraźna litera rozpoczętego słowa.

Gdy na dzwonku tramwajowym zadzwoni niebo wciąż szare i pochyli się nad nami, czy zrozumiesz, po co żyć i po co umierać.

Józef Andrzej Szczepański

ur. 30 listopada 1922 r., zm. 10 września 1944 r.

Czerwona zaraza

Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
byś nam Kraj przedtem rozdarłwszy na ćwierci,
była zbawieniem witanym z odrazą.

Czekamy ciebie, ty potęgo tłumu
zbydlęciałego pod twych rządów knutem
czekamy ciebie, byś nas zgmiotła butem
swego zalewu i hasel poszumu.

Czekamy ciebie, ty odwieczny wrogu,
morderco krwawy tłumu naszych braci,
czekamy ciebie, nie żeby zapłacić,
lecz chlebem witać na rodzinnym progu.

Żebyś ty wiedział nienawistny zbawco,
jakiej ci śmierci życzymy w podzięce
i jak bezsilnie zaciskamy ręce
pomocy prosząc, podstępny oprawco.

Żebyś ty wiedział dziadów naszych kacie,
sybirskich więzień ponura legendo,
jak twoją dobroć wszyscy kląć tu będą,
wszyscy Słowianie, wszyscy twoi bracia

Żebyś ty wiedział, jak to strasznie boli
nas, dzieci Wielkiej, Niepodległej, Świętej
skuwać w kajdany łaski twojej przeklętej,
cuchnącej jarzmem wiekowej niewoli.

Legła twa armia zwycięska, czerwona
u stóp łun jasnych płonącej Warszawy
i ścierwią duszę syci bólem krwawym
garstki szaleńców, co na gruzach kona.

Miesiąc już mija od Powstania chwili,
łudzisz nas dział swoich łomotem,
wiedząc, jak znowu będzie strasznie potem
powiedzieć sobie, że z nas znów zakpili.

Czekamy ciebie, nie dla nas, żołnierzy,
dla naszych rannych – mamy ich tysiące,
i dzieci są tu i matki karmiące,
i po piwnicach zaraza się szerzy.

Czekamy ciebie – ty zwlekasz i zwlekasz,
ty się nas boisz, i my wiemy o tym.
Chcesz, byśmy legli tu wszyscy pokotem,
naszej zagłady pod Warszawą czekasz.

Nic nam nie robisz – masz prawo wybierać,
możesz nam pomóc, możesz nas wybawić
lub czekać dalej i śmierci zostawić...
śmierć nie jest straszna, umiemy umierać.

Ale wiedz o tym, że z naszej mogiły
nowa się Polska – zwycięska narodzi.
I po tej ziemi ty nie będziesz chodzić
czerwony władco rozbastwionej siły.

Dziś idę walczyć – Mamo!...

Dziś idę walczyć – Mamo,
może nie wrócę więcej,
może mi przyjdzie polec tak samo,
jak tyle, tyle tysięcy

poległo polskich żołnierzy
za wolność naszą i sprawę.
Ja w Polskę, Mamo, tak strasznie wierzę
i w świętość naszej sprawy.

Dziś idę walczyć – Mamo kochana,
nie płacz, nie trzeba, ciesz się, jak ja,
serce mam w piersi rozkołatanie,
serce mi dziś tak cudnie gra.

To jest tak strasznie dobrze mieć Stena w ręku
i śmiać się śmierci prosto w twarz,
a potem zmierzyć – i prac – bez lęku:
Za kraj! Za honor nasz!

Dziś idę walczyć – Mamo!...

Hymn

Hej, do czynu, dzień wolności świta,
Biały orzeł już się w niebo wzbił.
Hej, kto młody niech dziś za broń chwyta
próbujemy naszych młodych sił.
Wolność budzi się, w górę orzeł mknie,
my, młody mężny polski rój – pójdziemy w bój,
na trud, na znój, by przelać krew,
na matki zew, za sztandar święty nasz.
Brzmi już zew, wre nam krew, serce drży, w oczach skry,
moc jest w nas, bo moc to my.
Wstanie znów Polska snów,
stworzy ją Grup Szturmowych młody huf!

Już nie wróci twój chłopiec – dziewczyno...

Już nie wróci twój chłopiec – dziewczyno,
nie wróci...

Padł na linii za Polskę, za sprawę,
za zburzoną, skrwawioną Warszawę.

Bił się mężnie i jak żołnierz zginął!

Tyś została i płaczesz dziewczyno,
i tak strasznie ci serce się smuci.

Nie płacz biedna, dziś łzy nie pomogą,
na próżno...

Nie padł pierwszy i nie padł ostatni,

ból zduś w głębi i zęby dziś zatnij

i idź dalej ciernistą swą ścieżką

w pierwszej linii, gdzie walczą żołnierze,
służyć Polsce – jak oni dziś służą!

„Parasol”

Pałacyk Michła, Żytnia, Wola,
bronią jej chłopcy od „Parasola”.
Choć na tygrysy mają visy
To Warszawiaki – fajne chłopaki są.

Hej! Tra, la, la...

Czuwaj wiaro i wyteżaj słuch,
Pręż swój młody duch, pracując za dwóch.
Czuwaj wiaro i wyteżaj słuch
Pręż swój młody duch, jak stal.

Każdy chłopaczek chce być ranny,
Sanitariuszki, to śliczne panny.
I gdy cię kula trafi jaka,
Poprosisz pannę – da ci buziaka.

Hej! Tra, la, la...

Z tyłu za linią dekowniki,
Intendentura, różne umrzyki,
gotują zupę, czarną kawę,
takim sposobem – walczą za sprawę.

Hej! Tra, la, la...

Nasze dowództwo jest morowe,
i w pierwszej linii nadstawia głowę,
a najmorowszy przełożony
to jest nasz Miecio – w kółko golony.

Hej! Tra, la, la...

Wiara się bije, wiara śpiewa,
Niemcy się dziwią „krew ich zalewa”,
różnych sposobów się imają
co chwila „szafę” nam przesuują.

Hej! Tra, la, la...

Lecz na nic „szafy” i granaty,
za każdym razem dostają baty,
i co dzień się przybliża chwila,
że zwyciężymy – i do cywila.

Piosenka szturmowa „Parasola”

Chłopcy silni jak stal,
oczy patrzą się w dal,
nic nie znaczy nam wojny pożoga.
Hej, sokoli nasz wzrok,
w marszu sprężysty krok
i pogarda dla śmierci i wroga.
Gotuj broń, naprzód marsz, ku zwycięstwu!
W górę skroń! Orzeł nasz lot swój wzbił.

Chłopcy silni jak stal,
oczy patrzą się w dal.
Hej, do walki nie zbraknie nam sił!
Godłem nam biały ptak,
a „Parasol” – to znak,
naszym hasłem piosenka szturmowa.
Pośród kul, huku dział
oddział stoi jak stał,
choć poległa już chłopców połowa.
Dziś padł on, jutro ja, śmierć nie pyta...
Gotuj broń! – Krew ci gra boju zew.

Chłopcy silni jak stal,
oczy patrzą się w dal,
a na ustach szturmowy nasz śpiew.

A gdy miną już dni
walki, szturmów i krwi,
bratni legion, gdy wreszcie powróci,
pójdzie wiara gromadą
Alejami z paradą
i tę piosnkę szturmową zanuci.
Panien rój, kwiatków rój i sztandary.
równy krok, śmiały wzrok, bruk aż drży.
Alejami z paradą będziemy szli defiladą
w wolną Polskę,
co wstała z naszej krwi.

W „Parasolu” jest już taka mania,
że na pluton mówi się kompania,
no i takie trzy plut-kompaniony
zwą się szumnie szturm-batalionem.

Dawnych czasów ten nasz tytuł sięga
gdy „Parasol” był jeszcze potęgą:
miał kompanie, plutony, drużyny,
magazyny i własne meliny.

Ale teraz się wszystko zmieniło,
cztery piąte chłopaków ubyło,
wygubiła ich wojny zaraza
gdzieś na Żytniej, Młynarskiej, cmentarzach.

No i trzeci już tydzień jest przecie
gdy „Parasol” wykrwawia się w getcie
z „Parasola” i dawnej w nim chwały
same nazwy już tylko zostały.

U nas nie ma okazji ni mówek,
każdy swoich pilnuje placówek,
puszka konserw na cztery osoby,
potem walka i służba dwie doby.

Póki serca się jeszcze kołaczą,
póty rękom wystarczy tej siły,
by karabin i peemy nosiły.

Teresa Sułowska-Bojarska

ur. 30 czerwca albo 30 lipca 1923 r., zm. 30 listopada 2013 r.

Apel

Gdyby tak nagle powstałi
spod swoich brzoźowych krzyży
i wyszli szeregami,
czwórkami, kompaniami
jak wtedy, pierwszego sierpnia...
W kombinezonach, panterkach,
wbiegli na Plac Dreszera,
stanęli na Starym Rynku,
na Teatralnym Placu
zwarci w bojowym szyku
wstrzymani komendą: „Baaaczność”.

Gdyby tak defiladą
ruszyli Alejami.
Zmartwychpowstałi z zagłady,
ci znani i nieznanii?

Gdyby tak nagle wylegli
spod ziemi na ulicę,
z bramy, z piwnicy wybiegli.
Pierwszego sierpnia.
W rocznicę.

Ci rozstrzelani pod ścianą,
dotknięci kulą w locie,
ten, który rzucał granat,
ten, kto był cynglem wyroku.
Zakatowani na Szucha,
zesłani do obozów,
i Pawiak, i Gęsiówka...
Umarłe morze. Jak młodość.

Gdyby tak jeszcze ułani,
gdyby polegli września. I tamci...
Rozhuściani.
Na sznurach. Z Alej i Leszna.

Strzępy sztandarów, orkiestra,
bezgłośny dudniłby werbel.
Rytm kroków bezszelestny
i beztchnieniowy oddech.
Trębacze dmą w milczenie,
milczeniem dudni asfalt.
Ich cienie – znów spod ziemi.
"Sta... rów... ka" „Ba... szta” „Pa... sta” .

Pochód zabitej młodości
w akordzie pęknięta struna.
Białoczerwoni, bezgłośni.
Na apel. Pod Kolumnę.

Król da komendę: „Spocznij”
i tym spóźnionym rozkazem
zamknie raz wtóry oczy.
Powróci – ku cmentarzom.

Lucjan Szenwald

ur. 13 marca 1909 r., zm. 22 sierpnia 1944 r.

Warszawa

Dym gruzów łącząc z dymem chmur,
wstrząsana eksplozjami piekła,
z losem toczy nierówny spór,
oszukana, burzliwa, piękna.

Ogniem przeciwpancernych serc
szturmuję do betonowych sklepień.
osaczony, walczy na śmierć
anielski pułk na szanckach piekieł.

I, chociaż krwawą wiślaną mgłą
osłaniając zamiar nieprawy,
złodziejska upierścieniona dłoń
złośliwie pomieszała sprawy,

Chociaż z dalekomorskich ziem
fałszywy sygnał walkę podniósł,
nie o życie i nie o dzień,
lecz o harap, dyby i powróż –

Warszawa zna potęgę swą,
Warszawa z czołgów kopuły strąca,
i tych, co z przyczółka ku niej rwą,
ona błogostawi, płonąca.

I węzeł gniewu ściągnąwszy brwi,
przeklina salw złowieszczym grzmotem
łotrów, co w strumień najczystszej krwi
spychają łódź, ładowną złotem.

1944

Jerzy Szewczyk

ur. 8 marca 1922 r., zm. maj 1944 r.

Rozmówka

Pytał raz Niemiec Polaka
tak sobie ostrożnie, pomału
z czegoż Pan żyjesz u kata?
Polak powiedział: Z przydziału.

Zasepił się Niemiec okrutnie:
– Do większych pan nie masz pretensji? –
A na to Polak utnie:
coś nie coś dokupię z pensji.

– To także przecież za mało.
Z tym chyba wieść życie głodowe!
I na to odpowiedź dał Polak całą:
– Mam kartki dodatkowe!

– Czymże pan palisz u licha
za co kupujesz ubranie?
Czy płacisz nadwyżkę licznika
za gaz, za buty, za pranie?

A Polak na to: pod piecem
nie palę, bielizny nie zmieniam,
gazu i światła nie świecę.
A żyję... z przyzwyczajenia

Przy życiu także się trzymam
choć nie jem jak wy specjałów.
Jeszcze nie jedno wytrzymam
a was – szlag trafi pomału.

Anna Świrszczyńska

ur. 7 lutego 1909 r. w Warszawie, zm. 30 września 1984 r. w Krakowie

Ogniotrwały uśmiech

znalazłam w sobie siłę,
żaden człowiek mi jej nie odbierze.
człowieka można zastąpić.
zapłaciłam za tę naukę cenę,
której jest warta.
przeszłam przez kąpiel z ognia,
jak wybornie wzmacnia ogień.
wyniosłam z niego ogniotrwały uśmiech.
nikogo już nie poproszę,
żeby mi położył rękę na głowie.
opnę się o siebie.
jak średniowieczne miasto jestem zamknięta,
zwodzony most się podniósł.
możecie to miasto zabić,
lecz nikt nie wejdzie.

Andrzej Trzebiński

ur. 27 stycznia 1922 r., zm. 12 listopada 1943 r.

Ojczyzna wzywa nas do boju

Ojczyzna wzywa nas do boju,
to naprzód, naprzód, naprzód Bóg nam każe iść,
by jutro zakwitł dzień pokoju,
twardy nam ugór deptać dziś.

Wielki wiatr nam sztandar już rozwinął.
Prowadź, dowódcu, na zwycięstwa szlak,
bo w gorących lufach karabinów,
czeka pocisk na Twój znak.

Gdy pożar wojny krwią trza zgasić,
to cóż, gdy komu nawet przyjdzie lec.
Ziemskie imperium z kroków naszych,
Imperium Boga z naszych serc.

Jeszcze matki twarz nie obeschła od łez,
świeżych ran nie zasklepił jeszcze czas.
Trzeba iść, by męce położyć już kres –
Naprzód marsz, naprzód marsz, naprzód marsz.

Jan Twardowski

ur. 1 czerwca 1915 r., zm. 18 stycznia 2006 r.

Matka Boska Powstańcza

Bóg Ci słońca na dłonie Twe nie żałował
ani ciszy na usta Twe zbyt mało dał –
broń bym zdobył dla Ciebie, o głodzie wędrował,
potajemnie orzechy na ołtarz Ci rwał.

Najświętsza, utracona, z rozkazami spalona –
w barykady równocznym strumieniu –
z Tobą twarz zapłakana, z Tobą bitwy do rana
i uśmiechy, i sen na kamieniu.

Kazimierz Wierzyński

ur. 27 sierpnia 1894 r., zm. 13 lutego 1969 r.

A więc stało się

A więc stało się!
Gruzy już tylko i klęska
i skowyt nieczłowieczy
spod ziemi dalekiej.

Zamknijcie jej kamienne
na czole powieki;
Umiera pokonana, umiera zwycięska.

Już tylko widmem błądzi
i jest tylko zjawą,
lecz wychodzi nad ciemność
i wachty roztrąca
i w górę idzie smugą,
szeleszcząc miesiąca,
i jak kometa wróżbą
rozświecła się krwawą.

Mija granice, armie,
moc wszelką przerasta
i nocą przelatując,
ze swej wysokości.
Jak gromowładna klątwa
nad ziemią podłości,
los świata zapisuje
w los jednego miasta.

Julian Wołoszynowski

ur. 4 kwietnia 1898 r., zm. 16 grudnia 1977 r.

Powstanie Warszawskie

Gołębie cały dzień gruchały,
pomimo ognia bomb i trzasku
płonących domów, w słońca blasku.

Pod wieczór spadły jak śnieg biały,
zbroczone krwią.

Krystyna Woźniak

ur. 6 stycznia 1957 r.

Niobe z Woli

Szła w kolumnie z trójką dzieci,
udawała, że się nie boi, była brzemienną.
chciała wykupić je trzema złotymi pierścionkami.
oficer z wroną na czapce przyglądał się jej uważnie,
zapamiętała jego dłonie w czarnych skórzanych
rękawiczkach.
nagle zaczął szarpać, strzelać,
kula trafiła syna,
kolejne strzały dogoniły resztę dzieci i ją.

Poczuła przeszywający ból,
upadła.

Ciężar martwych ciał
gniół, brakowało powietrza.
leżała cicho niczym liść.
Po kilku godzinach została odkopana.

Dwudziestego sierpnia urodziła syna.

Aneks



Józef Młynarski (1925–1987)

A przecież żyjemy..., 1957

monotypia, papier, 16 x 29 cm, nr inw. Gr.1073



Józef Młynarski (1925–1987)

Na dachu Starówki, z cyklu „Powstanie Warszawskie 1944”, 1960

akwaforta, papier, 22,4 x 17,5 cm, nr inw. Gr.1113

Józef Młynarski (1925–1987)
Dobrze być razem, z cyklu „Powstanie Warszawskie 1944”,
1960

akwaforta, papier, 24,5 x 17,5 cm,
nr inw. Gr.1119



Józef Młynarski (1925–1987)
Walka o życie, z cyklu „Powstanie Warszawskie 1944”, 1960
akwaforta, papier, 17,4 x 24,4 cm, nr inw. Gr.1125



Józef Młynarski (1925–1987)
Płomień i pieśń, z cyklu
„Powstanie Warszawskie 1944”,
1960

akwaforta, papier, 24,5 x 17,5 cm
nr inw. Gr.1127

**Autor nieznany – rysunek wg lito-
grafii Ireny Pokrzywickiej**
Matka Boska Armii Krajowej, po
1945

akwarela, tusz, karton, 28 x 18 cm
nr inw. Gr.2350





Gustaw Kazimierz Zemla (1931–)
Niobe Warszawska, 1966
terakota, wys. 80 cm, nr inw. Rz.87



Katarzyna Piskorska (1937–2010)
Oplakujące Warszawę, 1966
terakota, wys. 100 cm, nr inw. Rz.89



Gustaw Kazimierz Zemła (1931–)

Obrońcom Warszawy, 1966

gips, 100 x 70 cm, nr inw. Rz.128



Jerzy Brzozowski (1926–1995)

Warszawa 1944. Wypnanie z Warszawy, ok.1960

olej, płótno, 50 x 70 cm, nr inw. M.50



Halina Żuławska (1908–1988)
Powrót. Ludzie z Warszawy, 1964
olej, płótno, 150 x 112 cm, nr inw. M.165



Janusz Jutrzenka Trzebiatowski (1936-)

Spalona Pieta Warszawy, 2004

olej, płótno, 150 x 100 cm, nr inw. M.597



Józef Skrobiński (1910–1979)

Exodus – Okupacja, 1963

olej, płótno, 68 x 98 cm, nr inw. M.358



Powstanie Warszawskie, 1944 – ruiny getta, w głębi Stare Miasto – widok od ul. Okopowej

fotografia, 13 x 18 cm, nr inw. F-4402



Powstanie Warszawskie, 1944 – gruzu na ulicy Świętokrzyskiej

fotografia, 17,0 x 23,2 cm, nr inw. F-8241



Powstanie Warszawskie, 1944 – ruiny na ulicy Mazowieckiej

fotografia, 13 x 18 cm, nr inw. F-8242



Powstanie Warszawskie, 1944 – Plac Zamkowy
fotografia, 13 x 18 cm, nr inw. F-4412



Powstanie Warszawskie, 1944 – ul. Krakowskie Przedmieście u zbiegu z ul. Traugutta
fotografia, 13 x 18 cm, nr inw. F-4417



Powstanie Warszawskie, 1944 – Płonący Pałac Czartoryskich
fotografia, 9 x 13 cm, nr inw. F-4523



Powstanie Warszawskie, 1944 – Płonące krużganki kościoła Św. Krzyża
fotografia, 14 x 9 cm, nr inw. F-4458

Recenzje naukowe antologii
dr **Beata Michalec**, dr **Janusz Gmitruk**

Wybór reprodukcji ze zbiorów Muzeum Niepodległości
dr **Izabela Mościcka**

Promocja
Dorota Panowek

Administracja
Dorota Dobrońska

DTP
Krzysztof Woźniak

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości
(identyfikator wydawnictwa naukowego 42 700)
al. Solidarności 62; 00-240 Warszawa
wydawnictwo@muzn.pl
tel. 22 826 90 91 w. 41
ISBN 978-83-67398-52-7

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
ul. Erazma Ciołka 15, lok. 8; 01-445 Warszawa
biuro@lsw.pl, www.lsw.pl
tel./fax 22 620 57 18
ISBN 978-83-205-5864-7

Nakład 200 egz.

Patroni medialni:



TVP1

HISTORIA

STOLICA

MIĘDZYNARODOWY
ZIELONY SZTANDAR



TYGODNIK
idziemy

ŻYCIE ŚRÓDMIEŚCIA

MOWIA WIEKI

Partner:



Patronat Honorowy



Marszałek
Województwa
Mazowieckiego

 MUZEUM
NIEPODLEGŁOŚCI

25^{lat} SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
MAZOWIECKIEGO

Muzeum Niepodległości w Warszawie jest Instytucją
Kultury Samorządu Województwa Mazowieckiego